

# DZIŚ i JUTRO

## KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena 60 gr.

Rok VIII

Warszawa, 10 sierpień 1952 r.

Nr 32 (350)

Stefan LICHANŃSKI

## Glossy o realizmie »Olafa syna Auduna«

„O zieleni można nieskończenie” — powiada poeta. O realizmie też. Aby uniknąć niebezpieczeństwa rozpisania się „o wszystkich rzeczach i niektórych innych”, ograniczmy zakres naszych rozważań do spraw najściślej związanych z powieścią Undset i starajmy się wychodząc od kwestii stosunkowo najprostszyc i najłatwiej uchwytnych przechodzić do wyższych kondygnacji dzieła i głębszych warstw zagadnienia realizmu, takiego właśnie, z jakim spotykamy się w „Olafie synu Auduna”.

Pozwólmy sobie wprowadzić na chwilę fikcyjną postać tzw. „przeciętnego czytelnika”, aby zadać mu pytanie: „Czy uważasz, »Olafa syna Auduna« za powieść realistyczną?”. Odpowie on bez wahania: „Tak. Wszystko, co jest opisane w tej książce, mogło zdarzyć się w rzeczywistości”. Pierwsze bowiem, elementarne i naiwne zarazem rozumienie terminu „realizm” opiera się na sprawdzianie podobieństwa fikcji literackiej do znanych nam z doświadczenia osobistego faktów życia. Z tego bowiem punktu widzenia dzieło literackie wydaje się być tylko i jedynie zbiorem opowieści o faktach. Tak traktujący literaturę czytelnik opiera swoje opinie na przymierzaniu poszczególnych opisanych w książce wypadków do znanych z doświadczenia analogicznych zdarzeń życiowych i na podstawie takich czysto empirycznych porównań buduje sumę swojej wiedzy o realizmie czy też irrealizmie danego dzieła.

W wypadku „Olafa” nie zrażą wyznaczy „realizmu doświadczeniowego” nawet sceny o charakterze metarealistycznym (np. opowieść siry Benedykta o jego przeżyciach mistycznych, czy zjawienie się Olafowi widma zmarłej Inguny). Sceny te bowiem tak są potraktowane przez autorkę, że czytelnik może je interpretować od strony ich prawdopodobieństwa życiowego w sposób zgodny z własnymi poglądami i upodobaniami, a więc zmieścić w swoim obrazie świata, jako np. zjawiska graniczne (zestawiając je choćby z fenomenami spirytystycznymi) czy zgoła chorobliwe. Nie zepsują mu one bynajmniej przekonania, że „Olaf” to „przyjemne poczytanie”. Ostatecznie bowiem scen takich w wielkiej, dziewięćsetstronicowej powieści jest zaledwie parę, a poza nimi nie znajdziemy niczego, co obrażałoby najbardziej wyczulone poczucie rzeczywistości. Postacie nie są potraktowane ani karykaturalnie, ani też nazbyt wyidealizowane, czy wystylizowane na jakichś legendarnych półbogów; język zarówno dialogów jak i partii narracyjnych brzmi naturalnie; nie ma scen oscylujących czy to ku grotesce czy też ku melodramatowi, ani też scen o charakterze wyraźnie symbolicznym. Zasada prawdopodobieństwa życiowego wytrzymała jest konsekwentnie od ekscyzji powieści aż po jej epilog.

Dla nas ten typ koncepcji realizmu, ujmującej dzieło jako zbiór opowieści o faktach, ważny jest jedynie w odniesieniu do tego, co nazwać by można zastosowaną w danym utworze konwencją przedstawieniową. Jasne jednak, że konwencja ta nie przesądza niczego o wyższych kondygnacjach dzieła. W „Procesie” Kafki np. konwencja realistycznego wyglądu poszczególnych scen przeprowadzona jest konsekwentnie przez całą książkę, a jednak nie można uznać tej powieści za realistyczną.

II

Teraz wprowadzimy z kolei na scenę czytelnika, który się już nie zadowoli realistycznym wyglądem poszczególnych epizodów, ale chce ująć i rozumieć dzieło jako całościową strukturę estetyczną. Dla niego „Olaf syn Auduna” będzie reprezentował psychologiczno-obyczajowy typ powieści historycznej. Taki czytelnik zwróci uwagę na konstrukcję fabuły, konsekwencję i prawdę psychologiczną charakterów, motywacje historyczne i społeczne wydarzeń oraz zachowań się ludzkich. Będzie — słowem — odczytywał książkę uzupełniając zasób przyjętych z doświadczenia życiowego sprawdzianów realizmu sprawdzianami wiedzy naukowej i myślenia dyskursywnego oraz swojej kultury estetycznej. Czytelnik ten traktując „Olafa” wyłącznie jako próbę rekonstrukcji życia moralno-obyczajowego trzynastowiecznej Norwegii, odnajdzie w utworze Undset wszystkie elementy powieści realistycznej. Więcej! Odnajdzie on w nim wielkiej miary realizm krytyczny ukazujący człowieka w kontekście życia epoki, odsłaniający socjalne determinanty ludzkich postaw i ludzkiego losu.

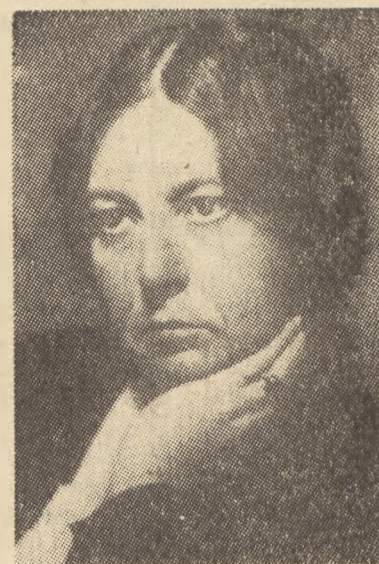
Przede wszystkim: typowość bohaterów i ich losu dla określonej rzeczywistości historycznej. Konflikty moralne Olafa, Inguny i młodszego pokolenia panów na Hestviken są typowe dla ludzi wyrosłych pod ciśnieniem swoistych tradycji narodowych i obyczajowych, swoistych form życia religijnego i moralnego splatających w sobie elementy światopoglądu chrześcijańskiego z pozostałościami starej pogańskiej religii Wikin-gów, nasyconej mocno elementami prymitywnej magii i ponurego fatalizmu. Nieodrodnymi dziećmi swej epoki i środowiska są Inguna i Olaf. Dla niej np. fakt urodzenia martwego dziecka to kara Boża za popełniony niegdyś grzech. Podobnie jak ona rozumuje Olaf, gdy przypuszcza, że to Cecylia zamordowała Jörunda, ponieważ jest święcie przekonany, iż w ten oto sposób bierze na nim odwet Bóg za zabójstwo Teita.

Bardzo wyraźnie odciska swoje piętno na psychice bohaterów również ich sytuacja społeczna. Weźmy dla przykładu postać Thorhildy, córki kmiecia, a więc osoby niższej staniem niż Olaf i Inguna. Jakże inaczej przeżywa ona swoją „ziłą mi-

łość”, jakże inaczej znosi jej konsekwencje. A przecież nie ma w niej nic ze sprytnego awanturnicy, ani śladu cynizmu, ani cienia wyrachowania, żyje ona prosto w innej sferze pojęć o życiu i moralności. Rzeczywistość jej dnia powszedniego to ciężka praca, bezustanny móżdżek trosk gospodarskich, trud walki o zapewnienie elementarnych warunków egzystencji sobie i najbliższemu. W jej świecie miłość nie może być sprawą najważniejszą, w jej świecie troska o byt i obowiązek pracy są wyznacznikami kierunku życia wewnętrznego. Miłość dla niej — to przede wszystkim głos krwi. Swoisty amoralizm Thorhildy to typowy amoralizm środowiska zepchniętego warunkami socjalnymi na poziom prymitywu życiowego, amoralizm będący konsekwencją i odzwierciedleniem owego prymitywu. Dzieje serca i losów tych dwu kobiet to niesłychanie ciekawy przyczynek do zagadnienia socjologii uczucia miłosnego i jego form.

Jeszcze mocniej i wyraziściej zarysowuje Undset ścisły związek świata myśli i poziomu moralnego z sytuacją społeczną kreśląc postać niewolnicy Dalli, tak okrutnie traktującej chorą Ingunę. Dwa motywy grają główną rolę w postępowaniu starej. Pierwszy z nich to chęć wykorzystania sposobności do zemsty nad kimś ze świata wolnych, ale motyw ten zostaje uzupełniony innym, nadającym owej zemście pozory nie osobistego odwetu lecz wymiaru sprawiedliwości: Dalla występuje wobec Inguny jako mścicielka hańby, którą nieszczęsną dziewczyną ściągnęła na swój ród. I nie należy bynajmniej przypuszczać, że ten drugi motyw jest świadomie dołgany. Dalla już w zupełności doprowadzona została do tego, by czuć się tylko służką i własnością swoich panów, by wyrobić w sobie poczucie zasadniczej wobec nich niższości i dlatego w obronie ich dobra i honoru, pojmanego jako wartość absolutną, z najzupełniej dobrą wiarą czynić coś co „psu byłoby zasługą, człowiekowi — hańbą”. Jej upodlenie moralne jest konsekwencją sytuacji społecznej, spychającej istotę ludzką do roli części żywego inwentarza.

Sigrid Undset opiera swoją koncepcję powieści historycznej nie na elementach zewnętrznych. Rezygnuje z archaizującej stylizacji językowej, unika starannie wszystkiego, co byłoby tylko środkiem podkreślenia swoistej egzotyki historycznej. „Olaf” jest powieścią psychologiczną. Z wątków charakterów rozwija się nie akcja, ale charaktery te wkomponowane są w nadrzędną wobec nich wizję epoki, ukazaną w całym bogactwie wewnętrznych różnicowań. Z mocno skreślonego tła wyrastają postacie prawdziwie, głęboko ludzkie, a jednocześnie jakże typowe, jakże niemożliwe do przeniesienia w inny kontekst historyczny, geograficzny, socjalny.



Sigrid Undset

Realizm historyczny Undset nie jest tylko wygodnym sztafadem dla rozwinięcia problematyki, która rzutowana na inne tło może nie zarysowałyby się tak wyraziście. Realizm ten jest pełny i samowystarczalny.

III

Pełny i samowystarczalny — ale w jakim stopniu? Dla naszego fikcyjnego czytelnika nr 2 może nawet w stopniu zupełnie wystarczającym. Barwna, żywa, sugestywna rekonstrukcja życia ludzi odległej epoki — czyż to nie dosyć? Zapewne, mogłoby to być dosyć, ale książka mówi co innego.

Dotychczas zajmowaliśmy się wyłącznie konwencją przedstawieniową dzieła oraz jego materią fabularną. Stwierdziliśmy też, że materia fabularna została ukształtowana w zadowalającą estetycznie całość. Co jednak całość tę ukształtowało w ten właśnie a nie inny sposób? Co było formułą organizującą poszczególne elementy dzieła w ich jednolity i celowo uformowany zespół?

„Och — powie nasz czytelnik nr 2 — przecież to jasne: ogólne zasady kompozycji literackiej...” Ba, tak to się mówi, ale z tą kompozycją to nie taka prosta sprawa. Pojęcie kompozycji może być ujmowane w dwojakim aspekcie: materialnym (inaczej: technicznym, ograniczającym się do zagadnień tzw. „formy zewnętrznej”) i formalnym (inaczej: merytorycznym, obejmującym zagadnienia „formy wewnętrznej”, czyli formy pojmowanej entelechicznie, tzn. jako czynnik organizujący materię dzieła w jego pełny, ostateczny kształt estetyczny). Rozważania na temat konsekwentnego rozwijania akcji, wzajemnego stosunku wątków fabularnych, roli opisów w powieści itd. należą właśnie do zakresu spraw związanych z pojęciem kompozycji użytym w znaczeniu materialnym (lepiej by-

W NUMERZE m. in.:

S. ZYGLICH — Pisane uśmiechem...  
R. H. MICHALSKI — Wczesne chrześcijaństwo wobec spraw miecza  
J. BIENIEK — Małe fragmenty wielkiej sprawy  
J. OSTASZEWSKI — Zachęta do Pascala  
Z. LICHNIAK — Świat widziały na wskroś  
E. CALDWELL — Candy-Man  
L. PROROK — Plenum Z.L.P. z perspektywy

by tu użyć terminu „konstrukcja”), ale nie mówią nic o nadrzędnej wizji centralnej dzieła, ze względu na uwypoklenie której autor stosuje takie czy inne metody techniczno-warsztatowej „obróbki i porządkowania materiału.

IV

Konstrukcja „Olafa” pomyślana jest w ten sposób, że „jako oś kompozycyjna powieści zarysowuje się centralna dla chrześcijańskiej koncepcji losu ludzkiego dialektyka wzajemnego stosunku łaski, grzechu i wolnej woli.

„Ostatecznie — twierdzi nasz czytelnik nr 2 — motywy religijne można także traktować w sposób czysto estetyczny, bez zaangażowania się pro czy contra. Dowodem na to np. „Legenda o św. Julianie Szpitalniku” Flauberta”.

Tak, ale w tym rzecz, że to, co oglądane od strony estetyki daje się nam poznać jako centralna i podstawowa wizja utworu, od strony pojęciowej i moralnej zarysowuje się jako koncepcja ideowa tegoż utworu. Ścisłej się wyrażając: owa wizja jest obrazową konkretyzacją koncepcji pojęciowej dzieła.

Flaubert koncepcję tę wyraźnie formułuje w ostatnim zdaniu swojej „Legendy”: „I oto jest historia świętego Juliana Szpitalnika — tak mniej więcej, jak ją widzimy na witrażu kościelnym — w moim kraju rodzinnym”. Autor stwierdza, że pragnął dać literacki odpowiednik scen widzianych na witrażach katedry w Rouen. Stylizacja utworu mierza wyraźnie w kierunku odrealnienia sytuacji, podkreślenia specyficznej fantastyki legendowej utrzymanej w duchu legend średniowiecznych. Typ konwencji przedstawieniowej i techniki warsztatowej zastosowany w tym utworze mówi wyraźnie o braku jakichkolwiek innych aspektów

(Dokończenie na str. 2)

w patrzeniu autora na przedmiot opowiadania poza aspektem czysto i wyłącznie estetycznym.

W powieści Undset sprawa przedstawia się inaczej. Dramat Olafa i członków jego rodziny kreślony jest, jak to już starałem się wykazać poprzednio, z zachowaniem maksymalnej dozy realizmu zarówno w zakresie samej konwencji przedstawieniowej jak również doboru i konstrukcji materiału tematycznego. Mógłby to, oczywiście, być realizm czysto rodzajowy, którego cel stanowiłaby możliwie pełna i zadowalająca estetyczna konstrukcja psychologii ludzi trzynastego wieku. Tak jednak stawiając sprawę znajdziemy w powieści pewną nadwyżkę, nie mieszczącą się w ramach takiej koncepcji dzieła Undset.

Raz jeszcze musimy powrócić do owych scen, które określiłem powyżej jako „meta-realistyczne”, by zastanowić się nad ich rolą w kompozycji powieści. Undset unika starannie bezpośredniego wprowadzania w akcję utworu świata nadprzyrodzonego. Również sceny, o których mowa, mogą być interpretowane, gdy traktuje się je jako samodzielne epizody, w sposób czysto psychologiczny, bez uciekania się do wyjaśnień mistycznych, czy choćby tylko metafizycznych. Oglądane jednak w perspektywie kompozycji całości okazują się one scenami o doniosłym bardzo znaczeniu. Są one zwornikami tej kompozycji, punktami, w których odsłania się „harmonia ukryta” dzieła, lepsza zawsze — jak mówi Heraklit — od „harmonii jawnej”: otwiera się w nich nadprzyrodzona sceneria ludzkiego dramatu. Może sira Benedykt był świętym, a może jego przeżycia dadzą się wy tłumaczyć w zupełności tzw. psychologią zawodu i pewnym quantum uzdolnień medialnych, ale moment, w którym zjawia się on u Olafa, by podsunąć mu myśl wypowiedzenia się z zatajonego grzechu, dobrany jest tak, że nie pozwala „złatwić” owej sceny interpretacją ściśle scienceystyczną. Przez usta tego księdza, posiadającego szczególnie dar wyczuwania konieczności przyjęcia z pomocą duszom udręczonym męką grzechu, przemawia w tej chwili sam Chrystus. Nadprzyrodzony plan rzeczywistości przecina się nagle z planem ludzkiej immanencji, ale przecież nie następuje ich pomieszanie. Ta scena otwiera po prostu perspektywę na szerszy, zasadniczy układ odniesienia.

Stosunek wzajemny tych dwu planów rzeczywistości jest w „Olafie” pokazany w ten sposób, iż nie możemy wątpić, że dla Undset właśnie rzeczywistość nadprzyrodzona stanowi substancję wszelkiej rzeczywistości. Poza strukturą artystyczną utworu zarysowuje się wizja świata zbudowana w oparciu o założenia czepiane z filozofii chrześcijańskiej.

## V

Centralna wizja dzieła jest w „Olafie synu Auduna” konkretyzacja koncepcji ujmującej problematykę losu ludzkiego w perspektywie wyznaczanej przez chrześcijański realizm filozoficzny. Realizm ten akcentuje mocno autonomię sfery doczesnej życia, stwierdzając jednocześnie prymat sfery nadprzyrodzonej. Świat nadprzyrodzony nie jest jednak w powieści ukazany bezpośrednio. Konflikt grzechu, Łaski i wolnej woli rozgrywa się w „Olafie” na płaszczyźnie ludzkiej immanencji. Pozwala to autorce potraktować wiele spraw i zagadnień w sposób odnawiający nasze myślenie o nich. Oto np. zagadnienie kary Bożej. Kara ta pokazana jest nie jako fakt z zewnątrz przychoźącego odwetu, ale jako logiczna konsekwencja grzechu. Nie Bóg, mszcząc się na Ingunie, zabija jej dzieci, lecz tocząca organizm nieszczęśliwej choroba. Choroba ta jednak to następstwo wstrząsu psychicznego spowodowanego świadomością wyjścia poza krąg obowiązujących chrześcijanina norm moralnych. Nie

chodzi jednak tylko o dawny błąd młodości, chodzi o jego wciąż narastające konsekwencje. Wieczny niepokój o los Erika oraz wieczne żywe podejrzenie, że Olaf jest mordercą Teita — oto przyczyny coraz bardziej potęgującego się stanu niepewności i lęku, który targa nerwy nieszczęśliwej kobiety i pogarsza z dnia na dzień stan jej zdrowia.

A oto zagadnienie każy prześladowanej potomstwo grzesznika. Córka Olafa Cecylia, kocha Aslaka. Olaf wie o tym. Sam nie ma nic do zarzucenia Aslakowi. Ale przeraża go jedno: Aslak pochodzi z okolic, w których rozegrał się niegdyś dramat jego, Inguny i Teita. Ta właśnie okoliczność zadecyduje, że Olaf nie zezwoli na małżeństwo Cecylii z Aslakiem, a bez wielkiego wahania wyda córkę za szubrawca Jorunda. Tak oto wina ojca mści się na jego dziecku. Ale czy kara ta wymierzona została przez jakieś potęgi zaświatowe? Nie, stanowi ona jedno z ogniw łańcucha konsekwentnie wynikających z siebie następstw dawnych grzechów Olafa.

Olaf jest w mocy zła i dlatego wciąga nawet najbliższe sobie istoty w krąg nieszczęść i cierpienia. Ale jak owdładło nim zło? Przypomnijmy sobie scenę zabójstwa Teita. Scena ta to popis sztuki charakterologicznego autora. Jakże wspaniale odmalowane jest samo narastanie w duszy Olafa zbrodniczej decyzji, a potem jej wykonanie, wykonanie tak precyzyjne i dokładne, a przecież odbywające się jakby bez udziału świadomej woli, jakby w śnie hipnotycznym. Olaf do pewnego momentu działa świadomie i samodzielnie. Jego własna wolna wola wyzwała tkwiące potencjalnie w skażonej naturze ludzkiej zło. Powoli, teoretyczna jakby z razu i będąca jedynie refleksem ówczesnych mocno barbarzyńskich pojęć o honorze i prawie osobistej zemsty, myśl o zbrodni przekształca się wreszcie w decyzję czynu. Potencjalna energia ludzkiego zła przeobraziła się w kinetyczną, ale równocześnie jakby zamarała wolną wola: od tej chwili Olaf działa jak automat, precyzja i celowość jego dalszej akcji ma w sobie coś przypominającego celowość i precyzję ruchów lunatyka wędrującego po samym skraju dachu wielopiętrowej kamienicy. Ktoś inny myśli jego myślami, ktoś inny podsyca jego przynagającą chwilami wolę, ktoś inny kieruje jego ręką zadającą morderczy cios. Tak oto, wyzwalając tkwiące w nas zło immanentnego zła, przywołujemy ich Właściciela. I wtedy on zaczyna gospodarzyć w naszej duszy.

Szczupłość miejscca zmusza nas do pozostania przy tych paru przykładach nie wyczerpujących bynajmniej całości zagadnienia. Wystarczają one jednak, by zorientować nas w metodzie pisarskiej Undset i zarazem wyjaśnić cel stosowania tej metody z punktu widzenia zasadniczej koncepcji dzieła. Undset kładzie silny nacisk na wartość życia doczesnego. W tym właśnie życiu rozgrywa się dramat grzechu, Łaski i wolnej woli, tu zapada decyzja o wieczności człowieka. „Gdzie kto będzie po śmierci, za życia odgadnie: gdzie chylił się za życia, tam po śmierci wpadnie.” Dlatego właśnie doczesność nie jest tylko jakimś nikłym i błędym refleksem rzeczywistości ponad doczesnej. Jest ona ważna i cenna sama w sobie. Zbawienie jest poza światem, ale droga do zbawienia wiedzie przez świat. Kiedy np. Erik ucieka z klasztoru, to dla tego właśnie, że orientuje się, iż za decyzją poświęcenia się życiu zakonnemu kryła się u niego dezercja przed trudami i dramatycznymi komplikacjami życia. „Pokój — szczęśliwość; ale bojowanie — byt nasz podniebny”.

Człowiek może swoją partię przegrać, tak jak przegrali ją Olaf i Inguna, ale nigdy nie istnieje konieczność, aby przegrać ją musiał. Nie istnieje żadne fatum niweczące z góry jego dążenia i usiłowania. Ła-

## Dokończenie ze str. 1)

mią nas i gubią konsekwencje własnych czynów. Ale czyni te w znacznej mierze zaliczne są od nas. Mówię „w znacznej mierze”, gdyż — jak to już wykazywałem poprzednio — Undset widzi człowieka w uwikłaniu uwarunkowań historycznych i społecznych. Relacja „Bóg — człowiek” zarysowuje się u niej nie z perspektywy jakiegoś abstrakcyjnego „człowieka w ogóle”, ani też z perspektywy bytującego poza kręgiem socjalnym osamotnionego indywiduum, lecz właśnie przede wszystkim przez zachowanie się człowieka tkwiącego w określonym kontekście spraw ludzkich. Podkreślając ważność uwarunkowań społecznych autorka stwierdza tym samym możliwość a nawet konieczność zmieniania tych uwarunkowań w sposób zgodny z wolą i świadomością człowieka. Świat uwarunkowań historyczno-społecznych jest dla niej światem widzianym w perspektywie humanistycznej, światem ludzkich zadań i zobowiązań.

Koncepcja rzeczywistości zarysowana w powieści Undset jest humanistyczna i optymistyczna. Autorka podejmuje rozprawę z żywymi dotąd pesymistycznymi tradycjami manicheizmu na jego własnych pozycjach: na dnie ludzkiego cierpienia i ludzkiej niedoli, wybiera najtrudniejszą drogę konfrontując koncepcję realizmu chrześcijańskiego z faktami życia pozornie zupełnie beznadziejnie zagubionego w nieszczęściu i grzechu.

## VI

Optymistyczny, afirmujący rzeczywistość doczesną i pełen zaufania do człowieka realizm Sigridy Undset nie deformuje bynajmniej tego obrazu świata, jaki budujemy z danych doświadczenia życiowego i danych wiedzy naukowej. Znaczący to, że chrześcijańska koncepcja świata i człowieka wytrzymuje próbę faktów, że zdolna jest ona zapłodnić sztukę adekwatną w stosunku do rzeczywistości.

W powieści Undset nie ma ani śladu rezonerskich referatów apologeetycznych oraz moralizującego kaznodziejstwa. Nie zbywajmy tej okoliczności frazesami o „umiarze artystycznym”, „takte”, „dobrym smaku” czy czymś innym w tym rodzaju. Bezpośredni dydaktyzm usunięty został z „Olafa syna Auduna” dlatego, że materiałem powieści jest fakt, traktowany jako realny wyraz konkretności rzeczywistości a nie jako sym-

boliczny obraz, nie jako znak czegoś, o czym można mówić tylko aluzjami, namponkami, enigmatycznym językiem wieloznacznych metafor. Twórczość prozatorska Undset to rehabilitacja faktu. Czym byłyby w tego rodzaju powieści dydaktyzm i rezonerstwo? Kwiatkiem przy kożuchu, marginesową dywagacją nieznaczającą jednoznacznie, a zarazem — w płaszczyźnie merytorycznej — gestem niepewności, wyrzecz forsowania przy pomocy słów tego, czego nie można udowodnić faktami. Realizm naprawdę konsekwentny i w stosunku do rzeczywistości adekwatny tego rodzaju sztucznych podpórek nie potrzebuje.

Ale to, co nazwałem powyżej „rehabilitacją faktu”, ma jeszcze inne znaczenia: jest zarazem rehabilitacją rzeczywistości ziemskiej. „Olaf syn Auduna” jest apologią światopoglądu chrześcijańskiego, ale dlatego też jest apologią doczesności. Realizm tej powieści wytrzymuje krytykę w odniesieniu, do wszystkich kondygnacji dzieła. Jest to wynikiem tego, że artystyczna realizacja utworu wcieliła we wszystkich szczegółach podstawową jego koncepcję. Z punktu widzenia zaś tej koncepcji doczesność nie może być czymś błahym, wtórnym, czymś z natury rzeczy godnym wzgardy lub obojętności. Ziemia jest warsztatem ducha ludzkiego, w którym realizuje on swoje zbawienie drogą zasługi. Zasługa ta to bezustanne doskonalenie się. Ale czy można doskonalić się nie doskonaląc jednocześnie swego otoczenia? A czyż można doskonalić je nie znając go dokładnie?

Chciałbym tu zwrócić uwagę na rzecz niezmiernie charakterystyczną. Pisałem poprzednio, że Undset unika starannie wszystkiego, co wyglądałoby na kokietowanie czytelnika powabami historycznej egzotyki. Spośród jednak tych, którzy będą wracali do „Olafa syna Auduna” parokrotnie (a sporo będzie takich) nie jeden zauważy dopiero przy którymś z kolejnych czytania, że w powieści tę wpisana jest cała monografia historyczna obejmująca wszystkie niemal dziedzin życia ówczesnych ludzi, od organizacji państwowej i społecznej poczynając a kończąc na sprawach gospodarki domowej, uprawy roli, hodowli bydła i t.p. I zdziwi go zapewne, że te rzeczy poprzednio jakby uchodziły jego uwadze. Nie ma w tym jednak nic dziwnego. Sekret polega na tym, że Undset wykorzystuje swoją rozległą i bogatą wiedzę o epoce w ten sposób, ażeby zachowana została hierarchia tematów i za-

gadnień, że dziedzina realiów przedmiotowych podporządkowana jest dziedzinnie wartości humanistycznych, a przez to pozostaje do pewnego stopnia w cieniu. Nie znaczy to jednak, aby była ona potraktowana schematycznie i zbywając jako nieodczuwana ale w gruncie rzeczy blache tło rodzajowe. Gdy przy czytaniu powieści zwrócimy uwagę na gospodarkę autorki w tym obrzynie magazynu realiów, zauważymy, że posługuje się ona nimi bardzo celowo i precyzyjnie. Te drobne motywy ówczesnego życia codziennego wnionowane są w powieść tak, aby grały bodaj pomocniczą rolę czy to w charakterystyce postaci, czy w konstruowaniu określonej sytuacji, ale nigdy jako przypadkowo zabłąkane przed obiektyw autorskiej obserwacji zbędne akcesoria.

Undset stara się oddać sprawiedliwość całej rzeczywistości widzialnej. Świat ukazany w jej książce jest zwykle mroczny, ponieważ rzucają nań swój cień dramaty ludzkich dusz, ale nigdy nie jest szarym, żółtym szarobiałym rzeczy traktowanych przez artystę zbywając, bez wewnętrzznego przekonania. I nie jest to bynajmniej kwestia samego tylko talentu. Jest to kwestia widzenia świata w perspektywie owego podstawowego „faktu chrześcijańskiego”, jak nazywa Jean Daniellou fakt Wcielenia. Jest to wizja świata, którego sens nie wyczerpuje się w samym tylko materialnym istnieniu, w procesach badanych i określanych przez fizykę, chemię, biologię. Jest to wizja świata ocalonego i uświęconego, świata, w którym każda czynność, każdy przedmiot mają znaczenie z perspektywy ponadskończoności; z perspektywy roli, jaką odegrać mogą w życiu człowieka powołanego do wywalczenia sobie tu, na ziemi, prawa do nieba.

Powtórzmy raz jeszcze: realizm prawdy życiowej, jakim przemawia powieść Undset, osiąga swoją pełnię i zapewnia „Olafowi synowi Auduna” ów dostępny dziełom ludzkim stopień doskonałości właśnie dzięki temu, że jest on formą artystyczną konkretyzującą koncepcję wyrosłą z ducha chrześcijańskiego realizmu filozoficznego.

„Myśl chrześcijańska — mówi Jean Daniellou — jest brudą wyoraną w myśl przez rzeczywistość chrześcijańską. Z tego punktu widzenia myśl chrześcijańska, jako jedyna prowadzona do pełni rzeczywistości jest zarazem najbardziej wykończona spośród myśli. Jest prawdziwą koncepcją Boga, człowieka i świata”.

## NOTATNIK POLITYCZNY

# Nowa ordynacja wyborcza

Jednym z ostatnich aktów nacze-go Sejmu Ustawodawczego było uchwalenie ordynacji wyborczej. Ordynacja ta stanowi szczególnie rozwinięcie zasad prawa wyborczego sformułowanych w Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. W pierwszym rządzie chodzi w nich o zasady wyborów powszechnych, równych, bezpośrednich i głosowania tajnego.

Według nowej ordynacji prawo wybierania ma każdy obywatel polski, który ukończył 18 lat, a wybranym może być każdy, komu przysługuje prawo wybierania jeżeli ukończył lat 21. Posłowie będą wybierani w okręgach wyborczych, w których wybierają się taką liczbę posłów, jaka odpowiada liczbie mieszkańców okręgu w stosunku 1 posł na 60 tys. mieszkańców. Prawo zgłaszania kandydatów na posłów przysługuje organizacjom politycznym, zawodowym i spółdzielczym, Związkom Samopomocy Chłopskiej, Związkowi Młodzieży Polskiej jak również innym masowym organizacjom społecznym ludu pracującego. Dla przeprowadzenia głosowania okręgi zostaną podzielone na obwody gło-

wania obejmujące z reguły 1500 — 3000 mieszkańców. Organizacje posiadające prawo zgłaszania kandydatów mogą ich zgłaszać zarówno samomislnie jak i łącznie.

Wybory zarządza Rada Państwa nie później niż na miesiąc przed upływem kadencji Sejmu. Rada Państwa powołuje też Państwową Komisję Wyborczą do której należy w pierwszym rządzie nadzór nad ściśłym przestrzeganiem przepisów ordynacji wyborczej przez okręgowe i obwodowe komisje wyborcze powoływane z kolei przez prezydla wojewódzkich, miejskich i powiatowych rad narodowych.

W dyskusji sejmowej nad projektem ordynacji wyborczej wszyscy niemal mówcy rozpatrywali znaczenie ordynacji na tle rzeczywistych warunków w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej programu Frontu Narodowego. W okresie gdy naród nasz oddaje najlepsze swe sily dla realizacji zadań wytyczonych Planem Sześcioletnim a równocześnie jednoczy się w akcji na rzecz utrwalenia polskiego stanu posiadania nad Odrą i Nysą, każdy akt polityczny winien być wspierany. Nie ulega wątpliwo-

ści, że zbliżając się kampania wyborcza będzie jeszcze jedną okazją do pogłębienia patriotycznej świadomości Polaków bez względu na różnicę światopoglądowe. Z tego też powodu ogromnie ważny jest punkt 2 artykułu 25 nowej ordynacji wyborczej, przewidujący możliwość łącznego zgłaszania kandydatów na posłów.

Odnowa społeczno-gospodarcza na szczytach Ojczyzny, walka przeciw wszystkim co grozi pokojowi świata to zadania, przed którymi nie wolno uchylić się żadnemu obywatelowi, rozumiejącemu najbardziej kardynalne obowiązki wobec narodu. W tych sprawach, a one właśnie stanowią podstawowe hasła zbliżającej się kampanii wyborczej nie może być różnic między Polakami. W tych sprawach żaden obywatel nie może ogłaszać się rzecznikiem politycznym przelargów. Dlatego należy być wrocz pewnością, że w imię najgłębszych założeń polskiej racji stanu organizacje i prawnotone do zgłaszania własnych list wyborczych będą dążyć do ustalenia jednej listy. Listy Frontu Narodowego.

Stanisław ZYGLICH

# Pisane uśmiechem...

(zapiski ze Złotu)

Warszawa przeżyła trzy niezwykle dni.

20 lipca witała młodych przodowników przybyłych na Złot. Odświętnie wygalantowane ulice ku namiotowym osiedlom wiodły grupy ślązaków i Pomorzan, chłopców z lubelskiego i dziewczęta z Mazur, Polska spotykała się w swolm centrum na historycznym rendez-vous.

21 lipca rozspiewało się miasto pieśnią młodych zastępów, zakwitło makami czapeczek, rozpawilo się kolorami złotych chustek, roztańczyło karnawałem nad Wisłą, wybuchło gejzerami sztucz-

Oto wielka prawda przemiany w małej scenie, jednej z tysięcy. Prostują się drogi młodości. Otwierają się perspektywy zbliżeń radosnych. Sławny poeta i nieznaną chłopak z Bielska są razem. Młodzi chłopcy z ludu nie tylko mają wolny dostęp do szkół, nie tylko usunęto z ich szlaków mroczne przeszkody uprzedzeń klasowych i kasowych, ale zburzono w ich życiu mury graniczne między światem kultury i jej twórców, a ich światem.

Starszy pan z „Negro“ wypowiedział prawdę wielkiego przełomu: inna młodość.

rymi z wata, w uszach usiłują zasnąć Ci, Którzy Niczego Nie Zrozumieli.

Jeszcze jeden podsłuchany wśród dialogów monolog:

— Ładnie jest. Te światła. Ten taniec. W ogóle. Ale przecież to nie tylko tak. Nie gadaj, że ciągle dźwigam inteligencki fortepian Szopena na plecach, tak jak durnie z wiersza Gałczyńskiego. Ale przecież to — to nie tylko to. Są konflikty. Kupa draństwa. Jeszcze swinią się ludzie. Jeszcze wiele zakłamania i wazeliniarstwa. No, i rewolucja nie głasze. Nie mówmy, że są tylko bukiety świateł, girlandy fajerwerków. Walczmy z tanim optymizmem, z bujdą sloganizmu, z idiotyczną łatwizną bezproblemowości.

Chwila milczenia. Cisza. Srebrnoczerwono-zielony bukiet rozsypuje się nad Wisłą snopem gasnących powoli iskier. Konieczna konkluzja monologu:

— Ale umiejmy przeżywać radość tej zmiany. Ze jest lepiej. Ze musi być ciągle lepiej. Do tej radości trzeba się dosłużyć. Zmianą w sobie. Udziałem w zmienianiu tego co było. Tego co jest.

I wniosek praktyczno-symboliczny:

— Chodźmy w kierunku MDM-u..

\*

W poniedziałkowy wieczór wszystkie ulice prowadzą ku Wiśle. Na placu Zamkowym najdemokratyczniejszy dancing. Parkietem — jeźdźnia Bufetem — samochody WSS. Oświetlenie — tysiące żarówek i trochę więcej gwiazd. Odpocząć można po tańcu przy balustradzie nad ruchomymi schodami, skąd widok i na Mariensztat i na Wybrzeże i na gwałtowne rozkwity świetlistych bukietów.

Fragmenty niechący podsłuchanych rozmów, jak mozaika układają się w logiczną całość.



— Czy można p a n i ą prosić do tańca?

— P a n i nie można prosić — odpowiada rezolutna srocza — ale ze mną możesz zatańczyć.

W jednym zdaniu — nowy savoir-vivre. Prawdziwszy niż ten Kamyczka z „Przekroju“.

Trochę dalej — inni.

— Wiesz, myślę o tym, jak cholernie głupio i źle żyją ci, dla których takie dni jak obecne są złe, smutne, przeciwko nim.

— Tak, to dobrze, gdy się czuje, że się jest t u t a j, a n i e t a m. Niekoniecznie ze wszystkim jest się t u t a j, ale już na pewno z niczym t a m.

Ruch palca jest nieokreślony, ale jednoznaczny. T a m — to mrok zamkniętych okien, za któ-

We wtorkowe popołudnie Plac Konstytucji nie objął tłumy. Nie obejmie też prawdy tego tłumy żadna obserwacja reporterska. Dominantę radosnego podniecenia, radosnej dumy i wzrastającej ufności w przyszłość odnotować może jednak każdy.

W zapiskach złotych jeszcze jeden akcent, jeszcze jeden wystąpić musi obraz, będący czymś więcej niż obrazem.

\*

Trzeba uczynić wszystko, aby dobrzy zwyciężyli. Taki jest także sens Złotu. Wzywa młodych do zwycięstwa. Młodzi muszą to wezwanie uczynić treścią swego życia, przed którym wielki przełom historyczny otwiera szerokie bramy w lepszą przyszłość.

Stanisław Zygllich



Belojanis i towarzysze  
Teresa Brzuszkiewicz, W-wa.

fot. J. Majkut

MIKOŁAJ ROSTWOROWSKI

## Pieśń o prawach

Andrzejowi Ziębińskiemu

Cień jarzma nad Helladą  
jak sępa skrzydło zawisł.  
Blask życia od zagłady  
ocali Belojannis.

Braterską znową listów,  
drutami telegrafu  
spętamy broń faszystom,  
— jak chcemy — będzie trać.

Niech salwa mrok rozcedrze  
i płoną iskry depezy  
by noc były bledsze  
pod smutnym, greckim niebem.

Pospiesznie tzę ocieraj,  
krew niewinnego nie płacz.  
Jest prawem bohatera  
ginąć gdy sędzi siepacz.

Odwieczny to obyczaj  
i strzec go zechce młody,  
co nawet gniewny krzyżując  
jak batem tnie urodę.

O wodę prosi. (— „Pragnę“...  
— mówił Kto dostał ocet. —)  
Nie milknie, smaga naglej  
oprawców — śniady chłopiec.

Wysoki to przywilej,  
jak szczyt Golgoty stromy  
w upalnej życia chwili  
uniknąć woli skłonu.

By dzieci kędzierzawe  
z zebraczej trwogi wywieść  
dziewczyńę pozostawi  
i chmurnych oczu tkliwość.

Skurcz tylko niepowszedni  
matczynym ustom przyda  
kiedy na skraju przedmieść  
zbiór wyrok będzie czytał.

Świt wnieć gdy tam dotrą  
on i trzech inni, których  
— choć żaden nie jest łotrem —  
ustawią z nim pod murem.

Nim zgaśnie latarni wieniec  
na skroniach robociarskich  
— wiatr od Termopil skrzygnie  
w spiz harde czoła zmarszczy.

PRZESŁANIE

Przechodniu powiedz światu,  
że Nikos padł posłuszny  
nakazom, których atom  
i złota wór nie skruszy.

W człowieczej doli ryte,  
na skale krwią mazane  
reguły wzrostu, kwitnienia,  
prawidła umierania.

Jest winien dumnej zbrodni  
skazaniec, Grek uparty:  
on reguły tych, przechodniu,  
zwycięsko strzeże — martwy.

Ryszard H. MICHALSKI

# Wczesne chrześcijaństwo wobec spraw miecza

„Pacem habere debet voluntas — Na osiągnięcie pokoju powinna być skierowana wola ludzka”.  
(Św. Augustyn — Epist. 189.6)

Pokój czy wojna, to przy dzisiejszym stanie technicznym hamletowski: „być albo nie być”, przetransponowane na język narodo-politycznej egzystencji. Zagadnienie to sub specie obecnej polskiej racji stanu ze szczególnym uwzględnieniem katolickiego nań wejrzenia, niejednokrotnie było już omawiane na tych łamach piórem ludzi bardziej kompetentnych ode mnie.

Na tym miejscu zajmę się w ogólnym bardzo zarysie tym samym zagadnieniem, ale patrząc nań oczami chrześcijan pierwszych wieków.

Świat wczesnego chrześcijaństwa, jakkolwiek czerpał swoją wiedzę moralną z Ewangelii, to przecież ulegał, często nieświadomie zresztą, wpływowi przedchrześcijańskiej myśli, a więc par excellence greckiej i rzymskiej. Tym to starożytnym poglądom poświęćmy kilka uwag dla właściwszego zrozumienia chrześcijańskiego punktu widzenia, który w okresie chylenia się ku upadkowi cesarstwa zachodnio-rzymskiego będzie w umyśle najwybitniejszego na owe czasy przedstawiciela chrześcijaństwa, św. Augustyna, w wielkiej mierze zbliżony do poglądów, wybitnego mimo swego eklektyzmu, Cicerona.

Dziwnymi paradoksami zgła ku Prawdzie myśl Platona, która raz przedstawia się jako szczytowa osiągnięcie głęboko ludzkiego humanizmu w jego przepięknej teorii miłości (Miłość jest pożądaniem Dobra), po analizie której św. Augustyn nazwał tego szerokiego w barach (stąd zwanego przez towarzyszy Platona) Olimpicyzka „najbardziej katolickim filozofem starożytnej Grecji”, to znów uważające wojnę nie tylko za środek obrony, w czym się z nim zgadzamy, ale za klasyczny sposób nabycia włas-

ności, w czym dopatrujemy się zapowiedzi mającego wystąpić w wielu wieków potem klasycznego w swej amoralności machiavelizmu. Łagodzi ten nasz ostry sąd negatywne ustosunkowanie się Platona do wojen greckich państw, jak nie mniej jego twierdzenie, iż wojna będąca złem koniecznym, nie definiuje istotnych celów państwa.

Nie inaczej też jest z poglądami na sprawy miecza u twórcy pierwszej wielkiej syntezy filozoficznej, Arystotelesa, który wojnę skłonny był uznać za jedną z form pierwotnego nabycia prawa własności prywatnej, tak na przedmiotach jak i osobach.

Nie należy jednakowoż uważać tych myślicieli za gloryfikatorów wojny. Wczuwając się w epokę trzeba raczej uznać ich niewykluczające wojen poglądy za stopień ckrucieństw walk przez głoszenie sprawiedliwości wobec wszystkich ludzi (Platon w De republica, Arystoteles w Etyce Nikomachejskiej).

Rzym reprezentujący uniwersalizm w polityce wydał też w zakresie myśli filozoficznej bardziej wypracowane i harmonijne spojrzenie na problem wojny. Najbardziej znanym i autorytatywnym zdaje się tu być Marek Tullius Ciceron. Widzi on w historii dwa sposoby załatwiania sporów. Jeden właściwy zwierzętom tj. za pomocą siły, drugi właściwy ludziom, tj. w drodze porozumienia. Tylko ta wojna jest sprawiedliwa, którą podjęto ze słusznego powodu, bądź dla odparcia napadu, bądź dla ukarania za krzywdę. (De rep. III, 23, 53).

W dedykowanych synowi, „De officiis” daje wyraz swego humanitaryzmu pisząc, że nawet wobec tych, którzy nas skrzywdzili, istnieją pewne obowiązki, istnieje bowiem miara w zemście i karaniu. (De off. I, 33)

Rozpracowanie podziału pojęć na bellum iustum i bellum iniustum to wybitna zasługa praktyka życia politycznego Rzymu i bardzo realnego myśliciela, jakim był Ciceron — wyznawca niezmiennego prawa naturalnego i jego preponderancji nad wszelkimi konkretnymi ustawodawstwami.

Zakres tematyczny niniejszego artykułu nie pozwala ani na bliższe zajęcie się wyżej bardzo ogólnie potraktowanym przedmiotem myśli starożytnej ani na szczegółową analizę antymilitarystycznego oblicza np. szkoły stoickiej, której wszelako wpływ najbardziej nadaje się do ich omawiania w zakresie teorii zagadnienia, aniżeli praktyki. Dość wskazać, że uczniem Arystotelesa był Aleksander Wielki, a co bardziej zdumiewające, to duchowy patronat Seneki nad Neronom w czasie jego kształcenia czy choćby rozpiętość praktyczna między słowami Marka Aureliusza — filozofa, a czynami tegoż jako władcy.

Z Grecji i Rzymu przejdźmy do Izraela. Według canicznej opinii G. Olphe Goliard'a (La morale des nations, Paris 1920) historia narodu żydowskiego jest niekończącym się pasmem walk wynikających z konieczności czy to z potrzeby zdobycia ziemi, czy też obrony przed nacierającymi sąsiadami. Nie obce też jest żydom pojęcie wojny świętej, której wynik w ich rozumieniu miał być wskaźnikiem stosunku Jahwe do narodu wybranego.

Rodzące się chrześcijaństwo miało jeszcze w pierwszych dziesiątkach lat dać wyraz swojemu stosunkowi do akcji militarnych, kiedy to żydzi wywołali powstanie celem wyzwolenia się spod panowania Rzymu, raz

w r. 66, drugi w latach 132—5 (wal ki Barkochby). Chrześcijanie odseperowali się od tych ruchów, czego wyrazem jest przeniesienie gminy jerozolimskiej na początku roku 66 do Perea za Jordan.

Zdaje się słusznym na tym miejscu spojrzeć oczami dwóch świętych Kościoła, Justyna i Ireneusza na starotestamentowe słowa proroków Izajasza i Micheasa o przyszłych, w pokój bogatych dziejach ludzkości: „I przekują swe miecze na plugi, a oszczepy na sierpy” (Cytuję za L. Winowskim, p. jego praca: „Stosunek chrześcijaństwa pierwszych wieków do wojny”. Wyd. Tow. Naukowe K.U.L. — Lublin, 1947. Jest to jedyna w polskiej literaturze praca z tej dziedziny pióra wytrawnego znawcy, profesora Uniwersytetów: Katolickiego w Lublinie i Wrocławskiego). Wzmiankowany więc święty Justyn i Ireneusz twierdzą, iż ludzkość dzięki chrześcijaństwu doczekała się sprawdzenia się słów proroków. To, ponad ówczesną nawet rzeczywistość polityczną, najwinnie optymistyczne potwierdzenie proroców, sprowadza na ziemię rzeczowy komentarz św. Jana Chryzostoma, który powiada, że jeśli przed Chrystusem wszyscy zmuszeni byli zajmować się rzemiosłem wojennym, to, jak pisze: „nunc autem maior pars terrae degit in pace.” — (teraz zaś większa część ziemi żyje w pokoju.)

Przejdźmy jednak in medias res naszego zagadnienia. Przysłuchajmy się więc głosowi sprzed prawie dwóch tysięcy lat, dzisiaj brzmiałemu głośniejszym, niż kiedykolwiek: „Błogosławieni pokój czyniący, albowiem synami Bożymi nazwani będą.” (Mateusz V, 8.). Słowa Chrystusa utrwalone w Ewangelii przemawiają nie tylko do nas prawem przebaczenia i miłości, tym samym nakazem odplacenia dobrem za wyrządzoną krzywdę przemawiały do opromienionych bliskim historycznie kontaktem z Chrystusem Jego pierwszych wyznawców. Na to więc tło prawa łaski i miłości, na bezwzględnie pojęte w swojej obligatoryjności „nie zabijaj”, w ramach zatem całej nauki Chrystusowej, którą nie bez przyczyny określono pięknym mianem Evangelium pacis, rzucimy teraz kilka charakterystycznych dla większych umysłów wczesnego chrześcijaństwa myśli wyjętych przeważnie z ich listów. Ta bowiem forma uzewnętrznienia poglądów była na owe czasy bardzo rozpowszechniona. (p. H. Jordan, Geschichte der altchristlichen Literatur, Leipzig 1911).

Ilećroć zetknąłem się z pismami Tertuliana, o którym chcę obecnie mówić, zawsze charakterystykę jego zamykałam w lakonicznych słowach: apologeta i urodzony cywil. Dość jednak wiedzieć, że Tertulian zajmował wybitnie negatywne stanowisko wobec wojska.

Równie bezwzględne stanowisko zajmuje najpoważniejszy przed Augustynem pisarz chrześcijański Orygenes. Wyznawcom Nowego Zakonu nie wolno, jego zdaniem, chwycić za miecz nawet we własnej obronie. (Contra Celsum VII, 26). Od rzucając obronę „manu militari” zaleca Orygenes zamiast chrześcijańskiego oręża popierającego cesarza, więcej mogące wskórać modły. Gdy będziemy na sposób dzisiejszy interpretować podane tu myśli, idąc w kierunku uznania ich za burzycielskie odnośnie fałszywych założeń ówczesnego świata pogańskiego, a nie za tworzące nowe reguły postępowania, wydaje się, że bądziemy najbliżsi prawdy.

Pisząc o mieczu w jego wczesnochrześcijańskim ujęciu aż cisną się

pod pióro słowa L a k t a n e j u s z a, zwanego popularnie chrześcijańskim Ciceronem, jakże dobrze oddającego nastroje antymilitarystyczne wczesnego chrześcijaństwa. Cytuje: „Jeżeli ktoś morduje pojedynczego człowieka uchodzi za zniesławionego zbrodniarza i uważa się go za niegodnego wejścia do świątyń, będących ziemskimi siedzibami bogów, ci zaś którzy pozbawili życia nieskończoną ilość ludzi, którzy zalali krwią ziemię i zatruli nią rzeki, uważani są za nie tylko godnych wstępu do świątyń, lecz i zasługujących na miejsce w niebieskiej siedzibie bogów” (Div. Inst. I, 18). Słowa te same za siebie mówią językiem mocy moralnej, jasnego wykładu i umiłowaniem uczciwości logiki.

A oto stoimy u mostu milwijskiego — bitwa między wojskami Konstantyna W. i Maksencjusza, jego konkurenta. Patrząc Konstantynowymi oczami widzimy oto na niebie milwijskim ukazujący się Krzyż — wojska Maksencjusza pierzchają a on sam ponosi śmierć. I tu poznał Konstantyn polityk, iż był narzędziem zwycięskiego Boga chrześcijan.

Niezależnie od naszego stanowiska wobec nawrócenia się Konstantyna, którego przyczyni jedni departrywać się będą we względach czysto religijnych, inni natomiast w konieczności natury politycznej, wyrażających się w potrzebie nowego „cementu” imperium, którego zadanie miało odtąd spełniać chrześcijaństwo (p. Burchardt, Die Zeit Constantinus des Grossen, Leipzig 1880) to przecież bezsporny jest fakt, iż koło historii wyniosło na powierzchnię legalnego życia politycznego w imperium — chrześcijaństwo. Od tej właśnie pory, nie kto inny jak ono, zaczęło powoli przejmować odpowiedzialność za losy imperium i choć to ostatnie w 476 roku przestało istnieć na Zachodzie, od średniowiecza aż po dzieje nowoczesnej Europy chrześcijaństwo będzie się czuło odpowiedzialne za losy i za trwanie jego kultury.

Ostrze jak gdyby spontanicznie bezwzględne antymilitaryzmu poglądów tak Tertuliana, jak Orygenes ulega roztopnieniu stopniowo w myśli świętych Ambrożego i Augustyna.

Już z samej hierarchii miłości św. Ambrożego (Miłość Boga — Ojczyzny — rodziny) wynika, że jego zdaniem chrześcijanin może chwycić za broń. Raz w przypadku obrony Ojczyzny, drugi — by w uzasadnionych wypadkach nieść pomoc społecznie uciemiężonym. Wojna może tedy być zjawiskiem niesprzecznym z etyką i sprawiedliwością ze względu na uzasadnione dobro moralne jednej ze stron. Żaden stan, a więc i wojenny nie wyłącza konieczności stosowania zasady: Pacta sunt servanda. Nieobcość kwestii wojny prowadzi Ambrożego do podziału cnoty mężstwa na: fortitudo bellica (dzielność wojenna) i fortitudo domestica (odwaga cywilna). Zwraca jednak przy tym uwagę: „Fortitudo sine iustitia iniquitatis materia est.” — „Odwaga pozbawiona poczucia sprawiedliwości staje się nieprawością”. (De Off. Min. I, 35).

Analizując wypowiedzi św. Ambrożego na temat wojny dostrzegamy wyraźną rolę pośrednika, jaką spełnił ten Ojciec Kościoła między Ciceronem a św. Augustynem, przypominając światu o podziale na wojny słuszne i niesłuszne. Nie przemyslał jednak Ambroży zagadnienia dostatecznie, nie złączył go ściśle z myślą chrześcijańską, temu zadaniu miał sprostać dopiero Doktor Kościoła, św. Augustyn.

Nowoczesnego prawnika-kryminalistę pociąga w szczególności postać św. Bazylego. U niego to bowiem znajdujemy ku swemu zdziwieniu na

wskroś nowoczesny pogląd na przestępstwo. Momentem kwalifikującym czyn jest zamiar sprawy. Więc spojrzenie na przestępce od strony jego psychiki, spojrzenie nie jak na robotę co czyni obiektywizm w prawie karnym, lecz jak na człowieka, co wniósł subiektywizm w tej dyscyplinie.

Czyn żołnierski pozbawiający na wojnie życia człowieka stawia św. Bazyl na równi z zabójstwem umyślnym. W tym ujęciu zagadnienia zawiera się cały jego negatywizm wobec wszelkich spraw miecza.

Ostatnim mężem myśli wczesnochrześcijańskiej, jakim się zajmujemy, a którego stanowisko będzie skądinąd centralne, to biskup Hippony — św. Augustyn.

Znakomity ten myśliciel był pierwszym w dziejach ludzkich historiozofem. W sławnym „De Civitate Dei” przedstawia dzieje świata, jako starcie się dwóch państw: państwa Bożego i państwa Zła. Pokój u Augustyna jest zagadnieniem pierwszorzędym i centralnym, ze względu tak na jego rolę w tworczym budownictwie życia, jak i na fakt, iż jest darem Bożym. A ten tak konieczny światu pokój powszechny zasadza się na ładzie pełnym harmonii. (De Civ. Dej. XIX, 13). Przez „pax civitatis” natomiast rozumie św. Augustyn harmonijne współistnienie wszystkich współobywateli na tle uporządkowanych stosunków odnoszących się zarówno do uprawnień zbiorowości, jak i tych norm, które zajmują się strukturą danej społeczności pod względem państwowym i określają wpływ obywateli na życie całości. (opus citatum). Dążenie do pokoju jest organiczną potrzebą natury ludzkiej tak, jak dążenie do szczęścia. Wśród prowadzących wojnę przynajmniej jedna ze stron ponosi za nią winę. Na to wprowadzenie do myśli chrześcijańskiej idei odpowiedzialności za wojnę zwraca uwagę Erdmann, a za nim Winowski, który w cytowanej pracy (str. 70) powiada: „Wojna według św. Augustyna znajduje w pewnych wypadkach usprawiedliwienie, moment ten zależy od dwu czynników: wartości etycznej działającego podmiotu i słuszności po budek skłaniających go do podjęcia akcji zbrojnej. Zawdzięczamy więc św. Augustynowi nadanie treści chrześcijańskiego punktu widzenia od Cicerona pochodzącemu, a podnoszonemu przez św. Ambrożego podziałowi wojen na iusta et iniusta. Regułą zatem i celem życia politycznego jest pokój, co nie wyklucza jednak, że państwo może się znaleźć w spowodowanej sytuacji wojny słusznej i stąd właśnie pisze Augustyn w liście do trybuna Bonifaciusa: „Nie sądzę, że ten, kto służy w armii, nie może podobać się Bogu” (Epist. 188, 4, 5). W słowach tych wyczuwamy olbrzymią ewolucję, jaką przeszła myśl wczesnochrześcijańska od zdecydowania negatywnego stosunku do spraw miecza u Tertuliana, Orygenes a Ciceronem poprzez uświadomienie konieczności rozwiązania w duchu naczelnej cnoty augustiańskiej — roztrępczości — przez wielkiego biskupa Hippony.

Dobrze się czytał w Ewangelie Augustyn, kiedy w tak trudnych dla imperium rzymskiego burzliwych czasach, umiał w słusznej potrzebie przyznając rację mieczowi, nie stracić z czu tego wielkiego daru Bożego — pokoju. Umiał powiązać z nim i postawić mu za fundament moralność. Dostrzegał jeden z największych paradoksów katolicyzmu: to przedziwne łączenie kierowanego rozumną wolą człowieka czynu zapewniającego ład pełen harmonii z od góry płynącą łaską daru Bożego — p o k o j u.

Ryszard H. Michalski

## OSTATNIE NOWOŚCI

INST. WYD.

„P A X”

ŚW. HIERONIM

LISTY

tom I

przekład ks. prof. J. Czujka

cena 34 zł

R. PASCAL

MYŚLI

z przedm. prof. S. Skwarczyńskiej

cena 32 zł

G. BERNANOS

ZAKŁAMANIE

(L'imposture)

powieść

cena 20 zł

S. HINDSET

OLAF SYN AUDUNA

tom II

cena 38 zł

J. KOLENDO

SZUKAJĄC DROGI

powieść

cena 20 zł

W. WNUK

WIOSNA NAD MOTŁAWĄ

cena 20 zł

A. JĘPKOWSKI

LUDZIE ENAD ZATOKI

cena 15 zł

A. ROGALSKI

KATOLICYZM W NIEMCZECH

PO II WOJNIE ŚWIATOWEJ

cena 20 zł

Józef BIENIEK

# Małe fragmenty wielkiej sprawy

INSTYTUCJA, o której będę mówił jest jedną z trzech tysięcy Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” operujących na terenie całego kraju i koncentrujących w rozległym kręgu swego działania wszystkie elementy gospodarczego i handlowego życia wsi. Spółdzielczość ta nie mająca za sobą tradycji ani doświadczeń, cierpiąca w początkowej fazie na ciężki niemal brak wykwalifikowanych kadr, otoczona dokoła wrogimi siłami — toczyła ciężką walkę, zdobywając z trudem metr po metrze należną jej przestrzeń działania.

Przebogaty wachlarz najróżnorodniejszych zagadnień zogniskowanych w kręgu działania Gminnych Spółdzielni i siła ich więzi z codzienną treścią chłopskiego bytowania sprawia, iż dziś na pracę tych instytucji zwrócone są oczy całego narodu, a przede wszystkim tych, którzy kierują jego życiem. Z tym kluczowym dla wsi zagadnieniem wiążą olbrzymie nadzieje i ci, którzy z zewnątrz stojąc rzucają na grunt wsi ziarna postępu i wszyscy światlejsi chłopcy.

Oczywiście więc, że im doskonalsza jest praca spółdzielni, tym jaśniej, pozytywniej i konkretniej rysują się i zakorzeniają w psychice chłopskiej kształty nowego porządku. I na odwrót — zła działalność takiej placówki krzywdzi nie tylko samą wieś, krzywdzi Polskę, rzucając między nią a chłopem bolącą smugę niechęci i urazu.

Zamieszczane niżej fragmenty, są zaledwie drobną cząstką wcale nie najważniejszych wypadków jakie wydarzyły się w Gminnej Spółdzielni Kobyliń Gródek, pow. Nowy Sącz, na przestrzeni ostatniego roku.

\*

ZLE zaczął się rok 1951. Przeprowadzone remanenty ujawniły kilka poważnych nadużyć, a sporządzony bilans — olbrzymie straty. W sklepie zaczęło brakować najbardziej podstawowych artykułów, a między ludźmi — zaufania i szacunku. Na twarzach tych, którym spółdzielczość stała się kością w gardle — ukazał się uśmiech drwiącego triumfu. Uśmiech, z jakim patrzy zły człowiek na agonie swego wroga.

Przedwczesny!

W początkach roku spółdzielnia otrzymała pokrycie strat za lata ubiegłe oraz pokaźną dotację. Wysoka suma zmobilizowała oklapłe siły aktywności spółdzielczej, który z tym momentem rzucił się z całą pasją do walki o dźwignięcie placówki na właściwy poziom.

Nie bez skutku. Nie minął miesiąc, a już termometr sytuacyjny zaczął powolutku iść w górę. Na półkach sklepów zagęściły się różnorakie asortymenty towarów i teraz zaczęli się uśmiechać ci, którzy w spółdzielczości ulokowali swe kapitały — ufność i nadzieję. Z wiosną w naturze — zaczęła się wiosna w spółdzielni.

\*

INNEGO rodzaju trudnością był problem kadr. Brak na miejscu możliwości stworzenia zespołu wartościowych pracowników, duża odległość od miasta i ośrodków, które posiadały działacze spółdzielczych oraz trudne warunki sprawiały, że do pracy w tej G. S. szli tylko ci, którzy nie mieli wiele do stracenia. Wykopsani składnicą niemrawcy lub też typki spod ciemnej gwiazdy, którzy przybywali tu z jednym zamiarem — zamienienia spółdzielni w urodzajne półko dla hodowli szerokich kantów i dużych dochodów.

W takiej dziurze, gdzie djabł dobranoc powiedział — obiecywali

sobie Mohikanie kanciarzkiego bractwa — cada będzie można wyrabiać...

Oczywiście nie te ewangeliczne — przemieniające wodę w wino, ale przeciwnie czyniące z wina wodę, a z dobra społecznego dobro osobiste.

Nie udawało się. Szczupłe grono aktywistów kierowniczych z coraz lepszą znajomością rzeczy patrolowało prace poszczególnych referatów, kładąc z miejsca kres wszelkim próbom machlojek i spekulancantwa.

Toteż wspomniani wyżej amatorzy lekkiej pracy i ciężkich zysków rozczarowywali się w samą porę i uciekali jeszcze szybciej niż przybyli. Najczęściej bez pożegnania, a jeszcze częściej pełni wściekłości do czasów, które uczciwą pracę uznają za najpiękniejszy obowiązek człowieka i pełni pogardy dla ludzi, którzy czystość rąk przyjęli za główną cnotę życia.

Z czasem jednak i te sprawy wyklarowały się jako tako. Do zespołu weszło paru ludzi, którzy pracę uważają nie za mus, lecz za radość i którzy dobro spraw spółdzielczych wynieśli wysoko ponad własne aspiracje, poświęcając im wszystkie siły, czas i wygodę.

Ech, wielkie się rzeczy dzieją dokoła. Na ziemi i w sercu człowieczym. Rosną nowe miasta i nowi ludzie, nowe maszyny i nowe uczucia. Ot choćby u nas: trzech najlepszych pracowników, których nazwiska przez długie miesiące widnieją na listach współzawodnictwa jako pierwsze i którzy stają się wzorem dla całej załogi — ci sami właśnie nie tak dawno jeszcze błądząc po ścieżkach ukrytych w złowrogim cieniu rzucałi pod nogi młodej spółdzielczości ciężkie klody.

Bolały ich serca o bogate przywileje indywidualnych dróg prywatnego handlu, o umiłowane nawyki, o rentowne przyzwyczajenia — i pięści same zaczęły się w kuliak. Przeszło im przecież. Im i tysiącom takich jak oni — prostych, szczerych, męczonych i pracowitych ludzi. Otrzępali złość z serc gestem psa, który wyskoczył właśnie na brzeg przepłynąwszy pełną zdradliwych wirów rzekę i stanął do pracy z właściwą im pasją, aby jej owocami jak kurtyną zasłonić przeszłość.

Dni spędu i skupu żywca to na odległość od miasta widać coś w rodzaju jarmarku lub targu. Przez biura zarządu spółdzielni i poszczególnych referatów przewalają się w takie dni tłumy. Wszyscy czegoś chcą, o coś proszą, z czymś się pogodzić nie chcą lub nie umieją. Wielu zaś domaga się rzeczy, których spółdzielnia mimo wszystko wciąż jeszcze załatwić czy dostarczyć nie może.

Ale prezesowi zarządu nie wolno zbyć chłopca choćby już pięćsetnego w danym dniu byle jakim słowem czy znużoną miną. Aby ten, gdy odejdzie nie przeklinał spółdzielni w żywe kamienie. Trzeba posiadać ową wielką i rzadką niestety sztukę obcowania z ludźmi, aby dokonać tego, że chłop nie otrzymał butów gumowych, cementu lub żelaza na okucie wozu — opuści pokój zarządu z uśmiechniętą twarzą i bez nienawiści w sercu.

Tę arcyważną na czasy dzisiejsze sztukę w wysokim stopniu opanował prezes spółdzielni w Kobyliń Gródku. Daje mu ona dwa zasadnicze plusy: nawiązuje naci, zaufania, szacunku i sympatii między masą członków a spółdzielnią, przez co właściwiej propaguje spółdzielczość, oraz stwarza pozytywną atmosferę w samym

zespole pracowniczym, co sprawia, że funkcjonowanie tej placówki coraz bardziej się usprawnia, wygładza i przężnieje.

Ten robotniczy syn i do niedawna sam robotnik kolejowy — bardzo szybko opanował znajomość praw handlu spółdzielczego, niemniej szybko i niemniej dokładnie poznał mentalność chłopca i problematykę ekonomiczną wsi, co ułatwia mu prowadzenie spółdzielczej gospodarki właściwymi szlakami ku właściwym celom.

\*

WYKAŃCZAMY właśnie ostatnie „krzyżówki” w wieloczęściowej masie cyfr na arkuszach sprawozdawczych planu zaopatrzenia i wciągając w płuca chłodną woń jeziora patrzymy ku drodze, od której dobiega potężny łoskot motorów. Za chwilę głośno sapiąc wtaczają się na podwórzu 7-miotonowy „Fiat” i mniejszy „Star”. Obydwa pełne towaru.

Koledzy — woła prezes — tych dwóch ludzi z załogi magazynu będzie wyładowywać bardzo długo. Grozi poważniejszy przestój — pomożemy chyba...

I pierwszy zakłada na bary stukilowy worek mąki. Widząc to, na wet ci najmniej chętni, lub obawiający się o honor swych biurowych pozycji — nie śmia odmówić. Dziesięciu ludzi — członkowie zarządu, referenci, kontyści.

Pomagają kierowcy.

— Jeśli jeszcze dwa lata temu — mówi jeden uśmiechając się szeroko — dźwigałbym worki jako parobcy do cudzego śpichrza — to możemy ponosić i dziś.

W ciągu 30 minut wyładunek skończony. Dwie godziny czasu zaoszczędzone. O dwie godziny wcześniej inna placówka otrzymała towar i kilka setek ludzi zostało wcześniej zaopatrzonych.

\*

JUŻ północ. Światła pogasły. Tylko jedno z okien mruga wciąż długimi rzęsami blasku rozgarniającego mrok. Wysoki brunet z nosem potężnym niby garb wielbłąda i blondynek o oczach wstydliwej dziewczyny — rysują zawięzcie.

Tak się zmęczyłem — mruczy w pewnej chwili brunet ocierając błyszczące kroplami czoło — że aż mi się mózg spociał...

To nie — pociesza go blondynek — za to Puchacz i Paulula wyglądają jak żywi. Jak się zobaczą, na pewno zaraz zboże oddadzą.

Na olbrzymim afiszu widnieją pomyślowo zestawione elementy obrazujące postawę najbardziej opornych w skupie, kontraktacji i podatku.

W dwa dni po wywieszeniu afisza zmierzchem samym zajęchały przed magazynem spółdzielni wyładowane zbożem wozy. To Puchacz oddał swoje dwie tony. Dwie tony — to tysiąc bochenków chleba. O tysiąc bochenków bogatszy będzie arsenał żywnościowy miasta i na stołach tysięcy rodzin przez jeden dzień pachniał będzie chleb z Puchaczowego ziarna.

To dużo, to bardzo dużo, jak za kawałek papieru. Młodzi rysownicy dobrze sprzedali swoją pracę.

\*

OSTATNIO wydarzyło się kilka przykrych spraw, o których myśląc tak bardzo by się chciało, aby to były ostatnie wrzody i ostatnie operacje na spółdzielczym ciele.

Trzy dni temu kontroler wewnętrzny podczas niespodziewanego remanentu ujawnił w filii Nr 7 wysokie manko. Przedwczoraj

przyłapano kasjera na próbie ukrycia wpłaconego utargu. Wczoraj M. O. zakwestionowała worek cukru po kumotersku sprzedany przez kierownika „dwójki”. Dziś zaś funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa aresztowali sklepową z tekstylnego sklepu za szeroko uprawianą spekulację towarami deficytowymi.

Dla omówienia tych wypadków zwołano zebranie zarządu z udziałem czynnika społeczno-politycznego.

Sprawa paskudna i nad wyraz przykra — powiedział prezes zarządu. — Toteż uważam, że patyczkować się w tym wypadku nie ma potrzeby. Moim zdaniem należy winnych natychmiast zwolnić z pracy, względnie oddać w ręce prokuratora.

Rada Zakładowa wniosek popiera: dla złodziei i świńtuchów nie ma w spółdzielczości miejsca. Nie ma!

Głós zabiera przedstawiciel czynnika społeczno-politycznego:

Zbyt pochopnie i zbyt po prostu zamierzacie obywatele rozwiązać to zagadnienie. Tak nie można. Sprawę należy rozpatrzyć dokładnie i uczciwie. Odszukać przyczyny zła, ustalić istotnie winnych i tych ukarać. Zaś tym, którzy pobłądzili lub zbłądowali — trzeba dać możność wejścia na właściwą drogę życia. Zdaniami komitetu, który nad tymi wypadkami już się zastanawiał — należało by raz na zawsze usunąć z pionu spółdzielczego kasjera, jako niepoprawnego, a przy tym alkoholika oraz sklepową z „siódemki” tak za manko, jak i za plugawy tryb życia, narażający spółdzielczość na wysokie straty moralne. Tamtego z „dwójki” za sprzedaż worka cukru wykreślić z listy spółdzielczej nie można — dźwignął przecież zaniedbany sklep i przesunął jego obroty z ostatniego na pierwsze miejsce. Ukarać go więc naganą, odebrać premię i poddać krytyce na zebraniu gromadzkim. A dopiero gdy to nie pomoże — wywalić na zbity pysk. Co do aresztowanej — to sprawę jej rozstrząsz powołane do tego czynniki. Chciałbym tylko zwrócić uwagę zarządowi, aby na przyszłość unikną angażowania osób nie znanych bliżej i bez jakiegokolwiek referencji. Uroczą buzia i piękne czy — to bardzo dużo jak na kobietę, ale to bardzo mało jak na sklepową Gminnej Spółdzielni...

Rzęście oklaski nagradzają mówcę. Opinię tę przyjmują wszyscy z zadowoleniem, a prezes z głębokim westchnieniem ulgi.

\*

NOCE mijają bez piłackich wrzasków, które nie tak dawno jeszcze wstrząsały ścianami domu na „Koszarce”. Ostra walka z pijaństwem, niechlujstwem moralnym i nierobstwem zrobiła swoje. Ci co poczuli się w nowej atmosferze źle — odeszli. A ci co pozostali — zdążyli w międzyczasie przesunąć ciężar zainteresowań na właściwe punkty.

Zrobienie kantu, wymiganie się od pracy lub jej zbycie, wódeczka, karty, dziewczynki — przestały już być ideałem. Przestały być ważne nawet niektóre osobiste sprawy pracowników — zespół zgrzywa się coraz lepiej i podciąga na coraz to wyższy poziom. Cele spółdzielczości, o których tu kiedyś myślano marginesowo lub nie myślano wcale — rosną coraz mocniej i wyżej, przesłaniając prywatne ambicje jednostek, usuwając na plan dalszy osobiste pragnienia, mobilizując w swym krę-

gu czas, siły i zdolności większości zespołu.

\*

TEJ niedzieli odbyły się pierwsze trzy zebrania gromadkie członków i użytkowników Gminnej Spółdzielni. Na zebraniach składaliśmy sprawozdania z działalności spółdzielni i wysłuchiwalimy głosów krytyki — gromadkiego sądu nad tym, co w naszej pracy dobre, a co wciąż jeszcze zle i niewłaściwe.

Spodziewaliśmy się na tym tle ożywionych dyskusji, oczekiwaliśmy głosów, które pomogą nam w usuwaniu napotykanym trudności, które ułatwią budowanie planu na przyszłość i pozwolą uniknąć błędów jakie mimo wszystko popełniliśmy. I tu spotkał nas pewien zawód. Dyskusje owszem liczne i żywe ograniczały się jedynie do skarg i narzekań na brak niektórych artykułów, jak cement, żelazo i tekstylia. Krytykowano zaś tylko i wyłącznie złą pracę czynników przeprowadzających rozdziały towarów deficytowych. Sąd był tak ostyry i rzeczowy, że w wielu wypadkach, za notoryczne kumoterstwo i nieuczciwość trzeba było rozwiązać wszelkimi zreorganizować Komitety Sklepowe.

O samej działalności spółdzielni najrzeczowiej wypowiedział się średniorolny chłop z Przydonicy Piotr Stelmach:

Spółdzielnia nasza — powiedział on — dając naszej gminie w ciągu roku sprawozdawczego ponad trzy tysiące ton najrozmaitszego towaru zrobiła wszystko na co ją było stać. W mniej natomiast dobrym świetle stoimy my sami, rolnicy tutejszego terenu, skoro jak ze sprawozdania wynika oddaliśmy Państwu tylko 500 ton zboża, ziemniaków, żywca i jaj. 500 ton — czyli dokładnie jedną szóstą tego cośmy w tym samym czasie od państwa otrzymali, świadczy to oczywiście o wysokim deficycie aprowizacyjnym naszej ubogiej górskiej gminy, ale świad. czy także i o tym, że dzięki pomocy państwa i sprawnemu działaniu tutejszej spółdzielni możemy braki owe pokrywać i dźwigać coraz wyżej stopę życiową.

\*

OSTATNI dzień grudnia. Ponad stosu papierów podnosi zmęczoną twarz główny księgowy i podaje wynik obliczeń: Prezes telefonem melduje placówce nadrzędnej o wykonaniu planów — 125% za grudzień, 110% za rok.

— Gratuluje — woła podnieconym głosem odbierający meldunek dyrektor PZGS — zdobyłście drugie miejsce w skali powiatu, co w stosunku do 12 jakie mieliście rok temu jest naprawdę wielkim postępem.

— Postaramy się — odpowiada prezes — aby zdobyć pierwsze. Zdobyć i utrzymać.

— Postaramy się — powtarzamy z nim jak echo.

I wraz z tym postanowieniem obanowuje nas na moment jakaś dziwna duma, że rok miniony przyniósł mimo wszystko wiele, że pokazał pewne możliwości i drogi ku nim wiedzące, że nauczyliśmy walczyć i zwyciężać...

I wtedy, choć tak dalecy od głównych nurtów życia, od tętniących gwarem wielkich miast, od potężnego łoskotu maszyn i tun rosnących kombinatów — czujemy i tu na peryferiach zdarzeń i przemian, jak rośnie ojczyzna i jak olbrzymieją sprawy małych ludzi.

Józef Bieniek

Miła i daleka Joanno,  
W to skwarne dni, pełne kurzu i  
wielozawskiego gwaru z zazdrością  
mysię o twoich czasach, które spe-  
dzasz w samotności i spokojnej ziele-  
ni podkrakowskich pagórków. Wybora  
sam sobie, jak idziesz wóród pachną-  
cych przedźn wną dojrzałością pól, u-  
pałując dogodnego cienia nad jakimś  
idyllicznym strumieniem, podczas  
gdy ja...

Właśnie! gdy ja w tym samym  
czasie w skwarnej Warszawie, obło-  
żony stertami książek usłuję pisać  
artykuł o Pascalu. Pora roku jest  
po temu jak najbardziej odpowiednia.  
Słońce i zieleń pierwszych pogod-  
nych dni tego zwariowanego roku  
wiodą mnie na pokuszenie. Ale znasz  
redaktorów. Skoro postanowią, że ar-  
tykuł ukaże się — na nic nie zdadzą  
się wszystkie perswazyje.

A właściwie sam wszystkiemu  
jestem winien.

Kiedy zobaczyłem nowe wydanie  
„Myśli“ Pascala — taki poważny fio-  
letowy tom w twardej oprawie —  
wspomniałem o wrażeniu, jakie kie-  
dyś ta książka na mnie wywarła.

Też to lat minęło od czasu, kiedy  
opornie, pełen wewnętrznych sprze-  
ców i wątpliwości, poddawałem się  
urzekającej głębi tej książki, niepo-  
kójcaemu nurtowi myśli Pascala.

I te i j a k i c h lat minęło  
od tego czasu.

A gdy zacząłem teraz na nowo  
przerzucać kartki tej książki, wczu-  
twać się w poszarpane i często nie-  
dokończone wątki myśli, wtedy, Jo-  
anno, poczułem, że wywierają one  
dziś na mnie nie tak gwałtowne mo-  
że, ale nierównie głębsze niż przed  
piętnastu laty wrażenie. Myśli, które  
wówczas całkiem uszły mojej u-  
wagi, dzisiaj nabrały nowego sensu:

„Czemu mnie zabijasz? — Jak to!  
Alboż nie mieszkasz z tamtej  
strony wody? Mój przyjacielu,  
gdybyś mieszkał z tej strony, był  
bym mordercą i było by niegodzi-  
wością zabić cię; ale skoro  
mieszkasz z tamtej strony, jestem  
zuch i wszystko w porządku.“

Dlaczego mnie zabijasz? Jak to!  
Alboż nie mieszkasz na północ od 38  
równoleżnika? Alboż kolor twojej  
skóry nie jest inny od koloru mojej  
skóry? Alboż kolor twoich włosów i  
kształt twego nosa nie są inne niż  
u mnie?

Jakież to smutne, że ta lapidarna  
myśl Pascala jest tak bardzo aktu-  
alna w naszym wieku XX.

Tak więc doszedłem do rozważań,  
w jakim stopniu na ukształtowanie  
się sądu Pascala o człowieku wy-  
warły wojny i niepokoje jego epoki.  
Pomyśl: Pascal ma 5 lat, gdy pada  
twierdza hugenotów La Rochelle, ma  
lat 12 gdy herold francuski ogłasza w  
Brukseli wypowiedzenie wojny, ma  
lat 13 gdy podjazdy infanta Ferdynanda  
podchodzą do p'd Compiègne, ma  
lat 20 gdy due d'Enghien odnosi  
zwycięstwo pod Rocri, ma lat 25  
gdy pokój westfalski kończy wojnę  
trzydziestoletnią. Na 3 lata przed je-  
go śmiercią zawarty zostaje pokój  
pireński, kładący kres wojnie hisz-  
pańskiej, która trwała przez 11 lat  
po zakończeniu wojny trzydziesto-  
letniej. A ddać jeszcze trzeba, że  
okres Frondy — to okres dojrzałości  
Pascala.

S ł a w a wojenna opromienia w  
owym czasie nazwiska nowych wo-  
dów: Guébriant, Turenne, Fabert,  
Gassion, due d'Enghien. N e d z a  
wojenna przgnana i niewczy dzie-  
siatki tysięcy bezimiennych egzysten-  
cji. Potlaci kalek, nędzarzy, włóczę-  
gów, żełdaków utrwalone z bezlito-  
snością prawdą w akwafortach Callota z  
cyklu „M'sères de la guerre“ i „Gu-  
eux“ — widział wszakże i znał do-  
brze Pascal z ulic i gościńców Fran-  
cji XVII wieku.

Wielkość i nędza człowieka...

Wydawało mi się przez chwilę, że  
właśnie od tego zaczęły artykuł o  
Pascalu. Wybrałem już nawet niektó-  
re cytaty „wojenne“ (VI 412, V 311,  
520 bis, XIV 921), odszukałem to  
miejsce z listu do Mersenne'a z  
r. 1643, w którym Kartezjusz wyra-  
ża pogląd, że lepiej zrobiłby li-

Janusz OSTASZEWSKI

# ZACHĘTA DO PASCALA

cheliu przeznaczając dwa albo trzy  
miliony na doświadczenia Mersen-  
ne'a, niż na wojny...

Doszedłem jednak do przekonania,  
że jest to zbyt jednostronne i zbyt  
płytkie spojrzenie. Korzenie pesy-  
mizmu Pascala są znacznie głębsze.  
Jego „dogodna pozycja obserwacyj-  
na“ — jak to określa Stefania  
Skwarczyńska — dała mu wszakże  
znacznie szersze i bardziej wszech-  
stronne możliwości analizy człowie-  
ka.

Plomienne i mądre oczy Pascala  
patrzyły uparcie w głąb człowieka —  
pod błętnym wspaniałości dostrze-  
gały nędzę — i szukały prawdziwej  
wielkości.

Wyczuwa się w „Myślach“ jak u-  
porczywie Pascal wracał od tego te-  
matu, jak dręczył go ten problem.  
Jest to dla Pascala problem przede  
wszystkim moralny, ale trudno nie  
widzieć jak bardzo zaciążyły na je-  
go postawieniu aktualne w owym o-  
kresie zagadnienia społeczno-politycz-  
ne. Życie Pascala dokładnie zbiega  
się z okresem tworzenia i umacniania  
podstaw absolutyzmu: urodził się  
on na rok przed objęciem pełni władzy  
przez kardynała Richelieu, umarł zaś  
w rok po śmierci Mazarina i objęciu  
samodzielnej władzy przez Ludwika  
XIV. Jest to okres, w którym książęta  
krwi i magnaci czują, jak coraz bar-  
dziej władza wymyka się z ich rąk,  
koncentrując się w ręku króla  
(wszakże Richelieu, którego matka,  
podobnie jak matka Pascala pocho-  
dziła z mieszczańskiej rodziny, okre-  
ślił jako jeden z zasadniczych celów  
swej polityki „poniżenie pychy moż-  
nych“). Jest to okres, w którym boga  
te mieszczaństwo ze swoją elitą in-  
telektualną zyskuje coraz bardziej na  
znaczeniu gospodarczym i politycz-  
nym. Przywileje stanowe stoją na  
straży dawnej hierarchii społecznej,  
ale nie mogą zapobiec tworzeniu się  
nowej hierarchii wartości.

„Jakimże przywilejem jest sła-  
chectwo, które od osiemnastego  
roku czyni człowieka wziętym,  
znany i szanowanym, tak jak  
inni mógłby to sobie zasłużyć w  
pięćdziesiątym: trzydzieści lat  
zyskane bez trudu.“

Zacytuję ci jeszcze taki — równie  
zuchwały jak i charakterystyczny dla  
owego okresu — wywód z „Rozprawy  
o kondycji możnych“:

„Posiadasz — mówisz — bogac-  
two swoje po przodkach; ale czy  
nie za pomocą tysięcy przypadków  
przodkowie twoi nabyli je  
i utrzymali? Iluż równie zdanych  
jak oni albo nie mogło ich nabyć,  
albo nabywszy straciło je? A czy  
ty sobie wyobrażasz, że to mocą  
jakiegoś naturalnego prawa dobra  
te przeszły z twoich przodków na  
ciebie? Zaiste, nie. Ten porządek  
wynikł jedynie z woli prawodaw-  
ców, którzy mogli mieć swoje  
słuszne racje, ale żadna z tych  
racji nie wyraża prawa natural-  
nego, jakie mógłbyś mieć do tych  
rzeczy. Gdyby im się było spodo-  
bało nakazać, że te dobra, bywszy  
w użytkowaniu ojców za ich ży-  
cia, mają wrócić po ich śmierci  
do rzeczypospolitej, nie miałbyś  
żadnego prawa się uskarżać.“

Tak więc wszystkie tytuły, mogą  
których posiadasz swoje miemie,  
to nie są tytuły naturalne, ale ludz-  
kie postanowienia. Inna fantazja  
tych, którzy stworzyli prawa, mo-  
gła była zrobić cię ubogim. Jed-  
nie ów traf, który skojarzył twoje  
urodzenie z kaprysem praw przy-  
czynnych ci w tej mierze, daje ci  
posiadanie wszystkich tych dóbr.“

Pascal jest konsekwentny w swoim  
rozumowaniu i dlatego powie w  
„Myślach“:

„Wszystcy są na jednym pozio-  
mie i wspierają się na jednej zie-  
mi; z tego końca znajdują się  
równie nisko jak my, jak naj-  
mniejsi, jak dzieci, jak bydło.“

„Wielcy i mali mają jednakie  
przygody, jednakie troski, namię-  
tności; ale jeden jest u szczytu  
kła, drugi blisko środka, tym  
samym ulega mniejszym wstrzą-  
szeniom przy tych samych obro-  
tach.“

Ale Pascal jest nie tylko konsekw-  
wentny. Jego ostre spojrzenie do-  
strzega współczesną mu rzeczy-  
wistość, jego ostre pióro utrwała ją  
bez obłonek:

„Racja pozorów. —  
To wspaniale! Nie chcecie, abym  
czcił człowieka przybranego w bro-  
katy i wiodącego ze sobą dziesiąt-  
ki lokajów. Jakże! Toć każę mnie  
ochłostać, jeśli mu się nie skłó-  
nię; takie ubranie to siła...“

„Mniemania ludu są  
zdrowe. — Być wyszukany  
w stroju, to nie jest czerą próż-  
ności; to znaczy okazać, że mno-  
gość ludzi prawuje na mnie; oia-  
zać trefnym włosem, że mam po-  
kójca, olejkarza itd.; rabatem,  
haftem, galonem itd. Otóż to nie  
jest proste przybranie, jakoby  
rząd na koniu, mieć wiele rąk. Im  
więcej kto ma rąk, tym jest sil-  
niejszy. Stroić się — znaczy oka-  
zywać swą siłę.“

„Jak to dobrze urządzone, że  
rozróżnia się ludzi wedle pozorów  
raczej niż przez wewnętrzne przy-  
mioty! Kto z nas przejdzie pier-  
wszą? Kto ustąpi miejsca drugie-  
mu? Mniej zdany? Ale ja jestem  
równie zdany jak on; trzeba by  
się bić o to. On ma czterech lo-  
kajów, ja jednego; to widoczne;  
wystarczy policzyć: moja rzecz  
ustąpić i jestem głupcem, jeśli się  
o to spieram. I oto dzięki temu  
sposobowi mamy spokój; a to naj-  
cenniejsze.“

To są sprawy pozorów, sprawy  
zewnętrznych przejawów siły i wła-  
dzy. Pascal sięga głębiej — do ser-  
ca, do rozumu. Odrzuca zewnętrzny  
pozór: rabat, haft, galon, włos tref-  
iony, zgłęk i rozrywkę. A wtedy  
spod wspaniałych pozorów ukazuje  
się prawdziwe oblicze człowieka:

„S t a n c z ł o w i e k a :  
niestołość, nuda, niepokój.“

„Człowiek mający dosyć mi-  
enia, aby żyć, gdyby umiał przeby-  
wać w domu z przyjemnością, nie  
opuszczałby go, aby spieszyć na  
morze lub oblegać fortecę. Jeśli  
kupuje tak drogo szarżę w armii,  
to dlatego, iż wydrłoby mu się  
nie do zniesienia nie ruszyć się z  
miasta; poszukuje rozmów i za-  
baw jeno dlatego, że nie umie z  
przyjemnością zostać u siebie.“

„Nie owego miękkiego i spokoj-  
nego używania, które pozwala  
nam pamiętać o naszym stanie,  
szukamy; ani nie niebezpieczeństw  
wojny, ani mozolów urzędu, ale  
zgiełku, który odwraca nasze  
myśli i jest dla nas rozrywką.  
Stąd pochodzą, że ludzie tam mi-  
lują gwar i zgiełk.“

Przypomniały mi się te myśli, kie-  
dy czytałem niedawno artykuł o a-  
merykańskim stylu życia. (cytuje, bo  
na twoje odwołanie gazety pewnie nie  
docierają): „W momentach, kiedy  
zostaje sam ze sobą, zjawia się prze-  
życie absolutnego znudzenia. Ten  
pierwszy etap niepokoju trzeba zabić.  
Stąd wypływa potrzeba ciągłej zmia-  
ny miejsca, ruchu, dla samego pro-  
cesu pokonywania przestrzeni, który  
pochlania uwagę, stąd bezustanne na-  
stawianie radia i chęć przebywania  
w możliwie jak najbliższym i  
najgłośniejszym towarzystwie.“

Tak urodziła się druga koncepcja  
artykułu o Pascalu: wyjść efektyw-  
nie z tego nabrzmiałego aktualnością  
cytatu, jeszcze efektywniej zacytować  
z Chamforta księżkę de Maine z jej  
kapitałnym „czy pan nie wie, że  
czterdzieści czy pięćdziesiąt osób, to  
jest odłudzie księżniczki?“, dorzucić  
ze starego, niezawodnego Taine'a tro-  
chę szczegółów o liczebności swity i

otoczenia króla, kszążąt krwi, magna-  
tów... Ale ta koncepcja jeszcze mniej  
podobala mi się od pierwszej; wyda-  
ła mi się po zastanowieniu jeszcze  
bardziej płytka. Bo przecież Pascal  
nie ogranicza się wcale do roli de-  
maskatora możnych tego świata, ale  
idzie znacznie głębiej — ukazuje ska-  
żoną naturę człowieka, jego okrutny  
niepokój, jego wewnętrzne rozdarcie.  
To są dla mnie najsilniejsze, najbar-  
dziej wstrząsające akcenty „Myśli“:

„Ostatecznie bowiem czymże jest  
człowiek w przyrodzie? Nicosią  
wobec nieskończoności, wszystkim  
wobec nicości, pośredkiem między  
niczym i wszystkim. Jest nieskoń-  
czenie oddalony od rozumienia  
ostatczności: cel rzeczy i ich po-  
czątki są dlań na zawsze ukryte w  
nieprzeniknionej tajemnicy; rów-  
nie niedłony jest dojrzed nicości,  
z której go wyrzucano, jak nieskoń-  
czoność, w której go utopiono.“

„Zgłębujemy po szerokim prze-  
stworzu, wciąż niepewni i chwiej-  
ni, popychani od jednego do dru-  
giego krańca. Czegokolwiek chce-  
libyście się ucepić, wraz chwieje  
się to i oddala; a jeśli podążamy  
za tym, wymyka się, wyszlizguje i  
wielkniec ulata.“

„Człowiek nie wie, jakie miej-  
sce ma zajęć: wyraźnie jest zbły-  
kany i stracony ze swego prawdzi-  
wego miejsca, bez możliwości odszu-  
kania go. Szuka go wszędzie z  
niepokojem i bez skutku, w nie-  
przenikniętych wroklach.“

„Widząc zaślepienie i nędzę  
człowieka, patrząc na cały wszech-  
świat niemy i człowieka bez światła,  
zdanego samemu sobie, zabłą-  
kanego w tym zakątku świata, bez  
świadomości, kto go tam rzucił  
ani co tam robi, co się z nim stane  
po śmierci, niezdolnego do ja-  
kiejbydy wiedzy, doznaję przeraże-  
nia, jak człowiek, którego by prze-  
niesiono uspięnego na opustoszała  
i straszliwą wyspę i który by się  
obudził bez świadomości, gdzie  
jest, i bez sposobu wydobycia się  
stamtąd.“

Oto dno smutku. Tu tkwią korzenie  
pesymizmu Pascala. I nie tylko Pas-  
cala. Ten sam pesymistyczny nurt  
spotkasz u La Bruyère'a i La Ro-  
cheffoucauld'a. Rozmowy jakże toczyły  
ze sobą o świecie i ludziach pani de  
Sévigné, La Rocheffoucauld i pani de  
Lafayette były (wedle relacji tej  
ostatniej damy) tak smutne, że naj-  
lepiej by było od razu całą trójkę  
pogrzebać.

Ale pesymizm Pascala nie jest osta-  
tecznym akcentem jego myśli. Z pe-  
symizmu wiedzie jego droga ku wie-  
rze:

„Wszystkie te sprzeczności, któ-  
re zdawały się najbardziej odala-  
ć mnie od poznania, od religii, za-  
wiodły mnie właśnie najrychlej do  
prawdziwej religii.“

To jest ta sama droga, która z sa-  
lonów elity towarzyskiej i intelektu-  
alnej prowadzi przyjaciółkę wielkiego  
pesymisty i sceptyka Franczka VI  
księcia de La Rocheffoucauld — mar-  
kizę de Sablé — droga do Part  
Royal.

Niespokojna myśl Pascala szuka  
rozwiązania trapiących ją dylema-  
tów. Wątpliwościami i poszukiwaniami  
kładzie kres noc 23 listopada 1654 r.,  
noc przelomu duchowego.

Lecz pełnia wiary nie oznacza koń-  
ca pracy myślowej. Przeciwnie — to  
jej pogłębienie i wzbogacenie — ku  
przewycięzeniu nędzy człowieka, ku  
zwykłemu przewycięzeniu proble-  
mu skażonej natury człowieka.

Czy pamiętasz, Joanno, to słynne  
miejsce pod koniec trzeciej księgi  
„Prób“, gdzie pisze Montaigne o  
tych, co „chcą się wydobyć z smych  
siebie i wyżyć się w sobie człowie-  
ka: to istne szaleństwo. Miał prze-  
mienić się w aniołków, przemieniają  
się w bydła, mają wzbudzić się w go-  
rę, uniają się. Owe nadoblecze hu-

mory przerażają mnie jako miejsca  
zbyt wyniosłe i niedostępne“.

Pascal nawiązuje niewątpliwie do  
tej myśli mówiąc:

„Niebezpiecznie jest zanadto po-  
kazywać człowiekowi, jak bardzo  
podobny jest zwierzętom, nie  
wskazując mu jego wielkości. Rów-  
nie niebezpiecznie jest zanadto  
mu ukazywać jego wielkość bez je-  
go nikczemności. Jeszcze niebez-  
pieczniej jest zostawiać go nieświa-  
domym i jednego, i drugiego. Ale  
bardzo korzystnie jest ukazywać  
mu i jedno, i drugie. Nie trzeba,  
aby człowiek mniemał, że jest rów-  
ny bydłom ani aniołom, ani że-  
by nieświadom był i jednego, i  
drugiego, ale aby wiedział i jedno,  
i drugie.“

Rozwiązanie tego dylematu u Mon-  
taine'a — dosadnie i rubasznie wyra-  
żone (i za to też nie lubi go Pascal):  
„Próżno wszelako wspinać się na  
szczudla; i na szczudlach trzeba nam  
chodzić swoimi nogami; et au plus  
eslevé thresne du monde, si ne som-  
mes nous assis que sur notre cul“. \*)

Całkiem inne jest rozwiązanie dy-  
lematu Pascala, który widzi drogę  
wielkości człowieka:

„Słowem, człowiek wie, że jest  
nędzny: jest nędzny, skoro nim  
jest; ale jest wielki, skoro wie o  
tym.“

„Wielkość człowieka jest wielka  
w tym, że zna on swoją nędzę.  
Drzewo nie zna swojej nędzy.  
Nędzą tedy jest czuć swoją nędzę,  
ale wielkością jest wiedzieć że się  
jest nędznym.“

Zatem przewyciężeniem nędzy,  
fundamentem, na którym wspiera się  
wielkość człowieka jest myśl, rozum.

„Człowiek wyraźnie stworzony  
jest do myślenia, to cała jego god-  
ność: cała zaś jego zasługa i ca-  
ły obowiązek to myśleć, jak się  
należy.“

„Myśl stanowi wielkość czło-  
wieka.“

Z samego dna duszy, umęczonej  
szukaniem, przewyciężaniem wąpli-  
wości, udręczonej przez precyzyną,  
krytyczną myśl Pascala dobywa się  
wolanie:

„Dobrze jest być znudzonym i  
zmordowanym bezskutecznym szu-  
kaniem prawdziwego dobra, aby  
wyciągnąć ramiona do Osmobodzi-  
ciela.“

Czuję Joanno, że z niecierpliwością  
wyglądasz końca tego przydługiego i  
przyciężkiego listu, podczas gdy ja u-  
wikłałem się w myśli Pascala i nie  
mogę oderwać się od tej urzekającej  
książki. A może właśnie nie książki?  
Chyba raczej od urzekającego swą  
wielkością i prawdą człowieka. Do  
lektury Pascala odnosi się bowiem  
znakomicie jego własna uwaga o zd-  
mieniu i zachwyceniu, jakie odczu-  
wamy wtedy, gdy „spodziewaliśmy  
się ujrzed autora, a znajdujemy czło-  
wieka“ — człowieka który jest nam  
tak bardzo blisko, choć dzieli nas od  
niego trzy wieki.

Od tego pewnie zaczęły artykuł —  
w myśl Pascalowej maksymy, że  
„ostatnią rzeczą, jaką się odkrywa  
układając dzieło, jest to, co należy  
pomoczyć na początku“.

A swoją drogą przyznam ci się po-  
cicha, że dopiero po przeczytaniu zna-  
komitego studium o Pascalu (pióra  
Stefanii Skwarczyńskiej), poprzedza-  
jącego nowe wydanie „Myśli“ — u-  
przytomniłem sobie, jaką lekkomyśl-  
nością było zredzić się na ten arty-  
kuł. Cóż ja właściwie mogę dorzucić  
do tego studium, owocu długiej pracy  
i głębokiego przemyślenia.

Kończę wreszcie ten list.

Żyjącym rozkoszaj się, wój i ed.  
ludzi, wspomnij czasem o kreśla-  
cym te słowa w pacie czoła i stru-  
dzonego

M a r k u  
\*  
Po paru dniach depesza:  
Pax Warszawa Mckotowska 43  
przyjście natychmiast myśli pasca-  
la stop rozdzierania Joanna

\*) Dopisując w pełni delikatność  
autora przytaczamy niemiecki polski  
przeład cytatu: „i na najwyższym tro-  
nie świata i tak siedzimy jeno na włas-  
nym zadku“. Red.

Zygmunt LICHNIAK

OBRACHUNKI ZE WSPÓŁCZESNOŚCIĄ (24)

## ŚWIAT WIDZIANY NA WSKROŚ

30 czerwca, 1952 r.

Wydano mi trochę forsy. Poszedłem na łazę po antykwariatach i księgarniach. Przytaszczyłem do domu sporą paczkę. Obok innych kupiłem dzisiaj nową książkę Żukrowskiego\*). Wyszła już podobno znacznie wcześniej, ale „Dom Książki” wzięła ją chyba trochę w swoich magazynach, zaś z przesyłaniem egzemplarzy recenzyjnych nie kwapią się ostatnio w ogóle. Za długo musiałbym czekać. Wołałem nie ryzykować.

Co to długo obwijać w bawełnę. Ciekaw jestem tej książki ogromnie. Świeży, prężny i jędrny talent Żukrowskiego ma w sobie czar urzekającej nowości. Ciągłe się te określenia przy omawianiu jego piarstwa powtarza, sam ich przy różnych okazjach kilkakrotnie używałem, ale dlaczego nie używać słów pasujących do rzeczy? Dlaczego nie powtarzać prawdy? Ucieczka od truizmów nie może być gwałceniem szczerości.

W Żukrowskim zawsze znaleźć można coś takiego, co jest jak orzeźwiający chłód w upale letnim, jak zapach skoszonego siana, lub wręcz jak brzmienie pełnego, czystego głosu, nucącego spokojnie ładną, melodyjną pieśń. Swoboda pisarskiego gestu, poczucie elastyczności frazy zdaniowej, żywy, wartki a jednocześnie spokojny tok relacji, gdzie każde słowo jest na swoim jedynym miejscu i każde posiada wszystkie pięć zmysłów — to chyba elementy składowe jego prawdy warsztatowej. No i ta zdolność widzenia rzeczy tak, że odzyskują one całą swoją wyrazistość, obrysowane są zdecydowaną linią i wycieniowane do najlepszych półtonów, są po prostu sobą i zwielokrotnieniem siebie. Zmysłowość rzeczywistości widzialnej podniesiona do kwadratu. Mnożnik pasji pisarskiej. Hołoczn talentu i obserwacji.

(Te określenia muszę wykorzystać w artykule. Nie wolno mi pisać o adekwatności przeżycia i opisu, o korelacjach doznań emocjonalnych i zabiegów poznawczych. Znowu powiedzą, że nie po polsku i że dla fachowców).

Książka ma miłą okładkę i emanuje z niej coś sympatycznego. Czuję delikację. Jutro poluję. A teraz jest tak, jak w letni dzień na widok dojrzałych czereśni. Jeszcze nie jesz, a już czujesz w ustach jędrny miąższ i na wargach lepka słodycz soku. Oczywiście, o tym nie będę pisał w artykule, bo powiedzą, że smakoszostwo, że perwersja literacka i takie różne bzdury.

2 lipca.

A może to i perwersja? Chyba jednak nie jest perwersją stosowanie czegoś w rodzaju ekonomii radości lub planowej gospodarki wzruszeń.

Rozcinałem dzisiaj kartki „Córceczki”. Zerkałem do środka. Bardzo lubię rozcinanie książek, po których spodziewam się czegoś milego. Ważę w dłoni ciężki, mosiężny nóż, rozginam lekko papier i kradnę stronomi po kilka zdań, które potem będą i tak moje, ale teraz są jeszcze fragmentem nieobjawionej prawdy, sygnałem, próbką, kroplą zapachu rozartar na dłoni. Wzmaga to radość niespokojnego oczekiwania, zaostrza czujność, wrażliwość, napina ciekawość.

„Córceczka” po pierwszym przekartkowaniu zyskuje sympatię. Miłe to, świeże, żywe i barwne. Czuję od razu pisarza z prawdziwego zdarzenia. Krytyk się z tego cieszy. Krytykowi też się przecież coś należy. Wolno mu poczekać dla przyjemności. Im rzadsza ta przyjemność tym więcej umie się ją ocenić. Lektura jako przysznie orzeźwiający.

(Naturalnie tego porównania nie mogę wykorzystać publicznie, bo dwuznaczne i w ogóle niby nie na miejscu. Szkoda, bo na czasie).

3 lipca.

Upał. Upał. Powietrze dygoce od gorąca. Musiałem adiustować w godzinach poza-redakcyjnych piekielnie nudny artykuł. Facet przez czternaście stron bez interlinii gędzi o konieczności wprowadzenia obiektywnych kryteriów w ocenie walorów estetycznych dzieła literackiego. Teza słuszna. Ale gdyby to połowę skrócić, jeszcze byłoby siedem stron za dużo.

Oprócz tego musiałem przygotować referat o zadaniach, osiągnięciach i brakach literatury katolickiej po wojnie. Pojutrze wyjeżdżam półslużbowo w teren. Odetchnę czystszy powietrzem.

Dla odsapnięcia przeczytałem pierwsze opowiadanie Żukrowskiego. „Misie” są śliczne. Przeczucia nie myliły. Dobra proza, czyste obrazy, pożyteczne owoce dojrzałych zdań. Jest jak w sadzie pełnym uginających się pod soczystym brzemieniem drzew. Pac! pac! spadają krągłe, pachnące, z puszystym widocznym pod słońcem meszkiem... Co? Albo ja wiem? Owoce sztuki. Witamina S, której tak brakuje anomicznym płodom złych szczeplonek.

(Z tą witaminą S to niezły pomysł. Trzeba by to wykorzystać. Można by zaryzykować kalambur o miczurinow skłom skrzyżowaniu żukrowiny z wang l'ogiem. Albo o tym, że mądre owoce są lepsze od... Nie, lepiej przestać na witaminie S).

Ta witamina jest miła w smaku. „Misie” są małym poemacikiem. Zdaje się, że całość będzie utrzymana w tym tonie. Bardzo ciekawy, bez pretensjonalny i swobodny pomysł literacki. Są to niby luźne zapiski pisarza Jana, któremu na imię Wojciech. Realizuje on jakąś większą rzecz, a jednocześnie ciągle gromadzi materiały do nowych, niepomyślanych jeszcze książek. Niby to pisze o Basi, o misiach, a pisze i o Basi i o misiach, i o Teresie, żonie Jana i o Janie, utrwalacu życia, i o życiu w jego wielości zjawisk, i o dobrym pisarstwie w jego zachłanności na życie.

Nazwać to chyba będzie można poetyckimi fragmentami monografii czło wieka, rozsadanego bogactwem przez żywiania prawdy o bogactwie życia i wielkości zadań sztuki. Nie. To za ciężkie. Lepiej chyba zawrzeć w określeniu coś takiego jak: „smak istnienia”. Albo może cytować strony dziesiątej: „życie ciekawsze od książek”. Albo: „dotykając czujnie prawdy...” Hm. I źle i dobrze. Coś takiego, ale jeszcze nie to. Może później łatwiej będzie znaleźć.

Muszę rozdzielić sobie lekturę opowiadań tak, żeby starczyło ich na jak najdłużej. Szkoda chaćnąć od razu. Powiedzmy: po jednym na dzień.

6 lipca, nad jeziorem.

...i dlatego nie będę opisywał jak tu jest. Takie słowa jak „ślicznie” czy „pięknie” lub po prostu „dobrze” nie mówię, chociaż w mowie wewnętrznej, jedynej i własnej zawierają wszystko.

Nawet utalentowani pisarze oddają w słowie tylko poszczególne elementy zjawisk i doznają ze szkiecowo jedynie ukazaną zasadą ich powiązań w układ pełny, albo też oddają opis układu pełnego z zaakcentowaniem jego głównych elementów — zawsze jednak bez możliwości całkowitego zawarcia w desygnałach literackich ostatecznej prawdy o mechanice wiązania tych elementów, o dynamice ich wzajemnej zależności i pięknie lub mocy ich niegłębszej tajni.

Tę myśl ogólną zestawiałem ze swoją wiedzą o piarstwie Żukrowskiego. Doszedłem do wniosku, że siła jego talentu, siła jego widzenia a raczej ukazywania zjawisk polega na zwycięskim forsowaniu sugestii, że mamy do czynienia z pełnią, ostatecznością, jedynością nazywania rzeczy, że stykamy się z samymi rzeczami, a nie z

ich odbitkami artystycznymi. Żukrowski jest w swoich utworach katalizatorem, soczewką, mnożnikiem prawdy o rzeczach. To określa jego talent.

Talent nie czyni jeszcze pisarza pełnego. W Żukrowskim ciągle mi brakowało ładunku wielkiej pasji poznawczej, którą tłumila u niego radość artystycznej konstatacji, wzruszenie twórczego identyfikowania rzeczy i ich nazwań. Żukrowski wacha, smakuje, słyszy, widzi, czuje, a myśl służy jedynie uświadamianiu radości pięciu zmysłów. Za mało w nim dla mnie pochylenia nad głębokim jeziorem, za mało koniecznej zadumy nad wnętrzem świata.

Teraz wiem, co oprócz estetycznej, ale zmysłowej radości ucieszyło mnie w „Misiach”. Właśnie pochylenie się nad Basią, małym człowieczkiem, właśnie chwila zadumy nad sensem piarstwa, nad granicami prawdy w literaturze. To umiarkowane, dyskretne, nie natrętne i nie mądralowate, ale spokojne i głębokie w swoim skupieniu docieranie do wnętrza prawdy o świecie czyni słowo pisarza pełniejszym, lepszym, piękniejszym.

7 lipca.

Jeziore. I.as. Skaliste zbocza. Kajakiem wzdłuż słonecznej smugi. Dzień prześwietlony na wskroś razem z człowiekiem. Pogodna noc. Naokoło wszyscy już chyba śpią. Dzisiaj przeczytam sobie drugie opowiadanie. Dobrze jest czytać rzeczy ładne, gdy jest pięknie.

8 lipca, rano.

Wczoraj przeczytałem wszystkie opowiadania Żukrowskiego. Nie żałuję, że moja planowa ekonomia doznała i cała gospodarka wzruszeń wzięła w łeb. Czasami najlepiej kalkuluje się zlekceważenie kalkulacji. Zwłaszcza w buchalterii uczuć.

8 lipca, noc.

Bidni ci krytycy. Muszą tłumaczyć uczucia na język tzw. obiektywizacji poznawczej. Jak będzie wyglądało to tłumaczenie uczuć wywołanych zbiorami opowiadań Żukrowskiego — nie wiem.

Po prostu: wiele prawdy o życiu, łyk czystego, zdrowego napoju, piękną mową powiedziana sprawa ludzka, sprawa ludzkiego przeżycia się bogactwem i powagą życia.

Żukrowski napisał liście i drzewa, a nie o liściach i drzewach, napisał ptaki i zwierzęta, a nie o ptakach i zwierzętach, napisał radość, smutek i zadumę człowieka, a nie o radości, smutku i zadumie człowieka.

Zaduma ta wpleciona — jak w życiu bywa — między pasmami najdrobniejszych spraw, między poprawieniem dziecka w łóżeczku i podniesieniem rolet o poranku, między spacerem i obiadem, między jedną i drugą stroną maszynopisu — obejmuje zagadnienia żywe w każdym z nas, zagadnienia przeżyte i oddane w książce z pełnią szacunku i dyskrekcji dla złożoności delikatnie rozchylanej tajemnicy.

Czytając „Córceczkę” czuje się artystę i człowieka jednocześnie. Brzmi to banalnie i pachnie kiepskim paradoksem, ale tak jest. Artyści często są nieludcy w swojej posągowej doskonałości i aptekarskiej rozważności w swoim cokolowym widzeniu świata. Wspiąć się trzeba na palce, by dotknąć nosem ich pięt. Świat oglądany z nosem przy piętach artysty jest trudnym do zrozumienia światem. Na palcach długo nie ustoisz. Artyści powinni rozmawiać z nami w pozycji siedzącej, lub na wspólnym spacerze po alei.

Żukrowski siada razem z nami i „Córceczką” na ławce parkowej, wędruje razem z nami wśród parkowych drzew. Możemy oddychać normalnym powietrzem, ić swobodnym krokiem i obcować z artystą. Pokazuje nam świat na nowo, odkrywa rze-



Wojciech Żukrowski

czy sto razy widziane a nie dojrzone, nazywa wzruszenia przeżywane tysiąc razy, a dzięki słowu trafnemu — pierwsze i kolumbowe. Rozszerza prawdę o ludziach i o świecie.

9 lipca.

Jak to, co wczoraj zapisałem, przetłumaczyć na język publicystyczny? Jak zobjektywizować w krytycznym wywodzie? Brr...

11 lipca.

W sztuce pisania chodzi chyba przede wszystkim o to, aby prawdę życia wyrazić w sposób jednocześnie i jednakowo prawdziwy i piękny.

Na czym polega respektowanie tej zasady w opowiadaniach Żukrowskiego?

Niewątpliwie, ogromnie ważna jest ich zdolność twórczego ukazywania prawdy i piękna świata pięciu zmysłów, wymierzania artystycznej sprawiedliwości widzialnemu.

Oto przykładowe zdanie z „Misiów”. Najprostsze z możliwych. Na stronie jedenastej Żukrowski pisze: „Jasna przestrzeń tętniła rzęszystym szpiewem ptasim”.

Zdań takich można przytoczyć mnóstwo. Wynikają one w relacji pisarskiej bezpośrednio, jakby niechcący, jak prosta konieczność jedynego nazwania prawdziwości zjawisk. Przecież się warto bliżej takiemu zdaniu, ujrzeć w nim jak w czarodziejskim szkielecie, całą alchemię i magię mądrości pisarskiej i pisarskiej dojrzałości. Uderza w tym zdaniu krystalicznie czystym i jego fonetyczna dźwięczność i syntaktyczna prostota i wizerunkowa wyrazistość i wnikliwość w oddaniu wrażeń słuchowych i odważna precyzja sinestezji. (W artykule musiałbym napisać: trafność przeniesienia określeń z jednego zakresu doznawczych na inny w celu wzmocnienia efektu estetycznej niespodzianki. To znaczy w słowie „rzęszysty” przeniesienie określenia z zakresu wzrokowo-dotykowego na słuchowy). Każdy z nas słyszał ptaki śpiewające o wczesnym świecie. Żukrowski znalazł dla tego doznania zespół znaków artystycznych, oddających maksymalną jego pełnię. Fakty zyskały rangę artystyczną nie rezygnując w niczym ze swojej prawdy rzeczowej. Ten dar tak rozumianej artystycznej nobilitacji zwykłych faktów ży-

cia codziennego stanowi u Żukrowskiego o jego sile.

W opowiadaniu „Pyton” zakreślił sobie ustęp o bocianie pożerającym myszkę. W tych kilkunastu zdaniach ze strony siedemdziesiątej siódmej, jak i w wielu innych typowych dla Żukrowskiego zespoleniach zdań, pisarz oddaje pełną sprawiedliwość zmysłowemu bogactwu i pięknu życia i świata. Opis żarłocznego bociana, jak wazyskie opisy w „Córceczce” jest niby tylko rejestracją faktu. Ale sposób rejestrowania, bezwzględna ścisłość obserwacji, czasami pozornie skrótowa w swojej pozornej beznamiętności pasja zawarcia w słowie całej, nawet brutalnej prawdy zjawisk, ascetyczna niemal rezygnacja z ozdób, niekiedy jednocześnie wielka umiejętność łagodnego cieniowania najsubtelniejszych nastrojów — wszystko to nadaje zdaniu Żukrowskiego rangę artystyczną, wzrusza podwójną prawdą.

Trudno będzie o tym pisać w artykule, bo zaraz ten i ów zaznisz kręcić nosem na formalizm. A przecież w jednej malej komórce zdania wej wyśledzić można u dobrego pisarza twórczą płaznię artystycznej prawdy zorganizowanej w organiczną całość na zasadzie pełnej zgody z realnymi wymiarami świata pięciu zmysłów.

Świat ten nie jest pełnym światem. Gdyby Żukrowski na tym poprzestał byłby to tylko wąski empiryzm artystyczny, byłoby to tylko powierzchowne muskanie naskórka zjawisk. Żukrowski nie poprzestaje już na relacji z tej tylko sfery.

12 lipca.

Któregoś dnia córceczka powiedziała w „Córceczce” do matki: „— W Zoo już taka wiosna, że nawet pawie kwitną. — Teraz popatrzyla z wżrtem na męża i szepnęła karcąc: — Czego ty dziecko ogłupiasz? Tylko nie próbuj wmawiać, że ona to sobie sama wymyśliła”. (str. 45—46).

Kiedwiedziej mijając gniazdo pisklek Basia zapytała tatę Jana: „— Tatulk, czy to będą moje ptaszki? — Nie, dziecinko. To będą ptaszki ptaszków, tych, co skaczą po ścieżce. — Acha — odpowiedziała z głębokim zrozumieniem”. (str. 104).

(Dokończenie na str. 8)

\*) Wojciech Żukrowski: Córceczka, opowiadania o dzieciach i zwierzętach, C.W. Warszawa 1952, str. 196.

Erskine CALDWELL

## CANDY — MAN\*

Szanowny Panie Redaktorze.

Z dużym zainteresowaniem przeczytałem „amerykański” numer „Dziś i jutro”. Poruszono w nim wiele słusznych spraw, które od dawna oczekiwały prania. Artykuły pp. Lichniaka, Kolenko, Rostworowskiego. Niestety numer był jednostronny, ograniczył się do ataku. O świetnych pisarzach amerykańskich, którzy jak sądzę najlepiej poznali się na amerykańskim, nie było prawie ani słowa. Dwa wiersze Edgara de Masters z jego „Spoon River Anthology” to naprawdę niewiele. Ponieważ tak się złożyło, że mam u siebie gotowy przekład z Caldwell, przesyłam go z nadzieją, że Redakcja tę rzecz wykorzysta, choćby dlatego, aby pokazać i tych Amerykanów, którzy widzą. Jest to typowa dla współczesnej prozy amerykańskiej miniatura forma literacka tzw. „short story”, (nowela) świetnie zrobiona, jak wiadomo bowiem Caldwell chociaż powieściopisarz, zalicza się do mistrzów tego gatunku literackiego.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku  
Jerzy Krzysztoń

Od tartaku na moczarach do szczytu wzniesienia szło się dziesięć mil, ale dla Candy-Mana był to zaledwie jeden duży krok. Było na co patrzeć, jak kroczył przez wady tych okolic środkowej Georgii.

— Dokąd idziesz, Candy-Man?

— Przejdzie dla szybkich stóp. Z drogi, chłopcze, bo idę się zobaczyć z moją dziewczynką. Stoi teraz na paluszkach, wypatruje mnie.

Króliki błyskały uciekając między puste kloce zwalonego drzewa — byle dalej od tupotu tych dużych nóg w ciężkich butach.

— Tylko nie włącz białym na pięty, Candy-Man — powiedział chłopiec. — Bo biali mają zawsze pierwszeństwo. Idź.

Candy-Man przerzucił nogę przez sztachety płotu tak lekko, jakby stawał nad trzonkiem motyki. Został przez chwilę w rozkroku, patrząc na czarnego chłopca. Na moczarach zmierzchało. Miał przed sobą dziesięć mil drogi.

— Ja się do białych nie mieszam — powiedział — dopóki mi dają spokój. Obdzieram dla nich



skórę z mulów i dla nich zdejmuję korę z cyprysowych pnii, ale po robocie, już mnie nie ma: idę tam, gdzie o białych ani słycho, ani dychu.

Wśród drzew sowy zaczęły próbować życia. Te hukliwe płaki cieszyły się zachodzącym słońcem.

Czarny chłopiec w zagrodzie dla mulów, podrapał się w głowę i patrzył jak słońce się zniża. Gdyby nie musiał dać paszy mulom i gdyby tak miał ze dwa centy w kieszeni, chętnie by się uczył Candy-Mana. Był to sobotni wieczór i w mieście o tej porze smażyono beczkami rybkę. Miał ochotę

na kilka rybek o tym miłym zapachu.

— Już niedługo — powiedział chłopiec — postaram się i ja dla siebie o dziewczynkę.

— Uważaj, chłopcze, żeby to nie była dziewczyna Candy-Mana, a przyłożę ręki do tej sprawy.

Przerzucił drugą nogę przez szcherbaty płot i ruszył ku wzgórzom. Tylko dziesięć mil od moczarów do szczytu wzniesienia, i po wycieczce. Krzewy smagały mu stopy, wirowały za nim, był szybszy od ich powtórnego uderzenia. Droga do zwożenia drzewa i przez małe doliny, szedł Candy-Man, przemierzając po trzy pokosy zboża jednym posuwistym krokiem.

Kilku czarnych chłopców wędrowało traktem głównym. Był przy nich, nim zdążyli spojrzeć za siebie.

— Przejdzie dla szybkich stóp, chłopcy — zawołał. — Oto idę!

— Dokąd idziesz, Candy-Man? Musieli często podbiegać, żeby dotrzymać mu kroku. Popędzać się wzajem, by sprostać tym długim nogom. Zaspalali się.

— Ktoś pytał dokąd idę — powiedział Candy-Man — Mam żółtą dziewczynkę, chcę właśnie ją odwiedzić.

— Tylko nie zapomnij zadać w róg, Candy-Man, nim otworzysz drzwi. Żółte dziewczyny nie lubią niespodzianek.

— Prawde trąbisz, chłopcze, tylko słyszałeś, że dzwon, a nie wiesz gdzie on. Dziewczyna Candy-Mana czeka zawsze na niego przed samymi drzwiami.

Sobotni cwaniacy mają powody do pośpiechu. Muszą wytrzasnąć trochę forsy, zanim gwizdek fabryczny nie wychłosta im uszu w poniedziałek rano.

Chłopcy pozostali z tyłu, żeby się wysapać. W ten sobotni wieczór niesposób było dorównać w marszu dwumetrowemu oprawcy mulów.

Trakt główny zbyt był kręty i długi. Candy-Man puścił się przez pola, ciągnąc prosto, jak cłowianka na sznurku, do półmiska smażonej ryby. Światła miasta spłynęły mu się w twarz jak rój robaczków świętojańskich. Osiem mil do świata, później jeszcze dwie i zapuka do drzwi żółtej dziewczynki.

I znów traktem, gdy ten się wyprostował. Candy-Man wpadł do miasta. Starsi na przejażdżce i spacerująca młodzież, wszyscy robili przejście dla tych szybkich stóp. Muły u powozików i bawiący się na środku drogi — wszystko ustępowało przed nim.

— Co tak lecisz, Candy-Man?

— Uważajcie, Murzyni, bo was kurz spod moich butów na amen oślepi. Idę do celu.

— Dokąd to, Candy-Man?

— Mam dziewczynkę, co czeka przed samymi drzwiami. Nie lubi wyczekiwać długo.

— Zwolniłbyś, Candy-Man, i osuszył pięty, bo się zbliżasz do

miasta, gdzie mieszkają biali. Nie cierpią jak im murzyn wiezie na nagniotki.

— Od zachodu słońca jestem wolny. I już nie patrzę kto jaką ma skórę.

S T A R Z Y zagdakali między sobą i muły poszły kiusem. Nie podobało im się, że ten murzynisko w taki sposób mówi.

— Weźmiesz mnie ze sobą, Candy-Man, co? — nagabywali go malcy. — Zwędziłbym kurczaka z jakiejś lepszej grzędę.

— Kiedy idę, jestem jak najwaleczniejszy kogut. Pcham ostrogi w każde obce pióra. Usun się, chłopcze czarny, usun się.

Szedł ulicą, trzymając się środka jezdni. Chodnik by go nie pomieścił, gdy był w takim pędzie. Talerz smażonej ryby i potem w drogę. Przecież żółta dziewczynka czeka, nie było czasu do stracenia. Osiem mil już za nim, tylko krótkie dwie pozostają. Strażak w tartaku będzie musiał ciągnąć za gwizdek w poniedziałek rano tak, jakby to był sygnał z ziemi obiecanej.

Zapach ryby ściągnął go wprost do drzwi probierni. Możliwe, że to były barweny, pachniały równie wybornie. Nie było czasu na zamówienie specjalnej porcji pletwy.

Trzymał rękę na drzwiach restauracji. Lokal był pełen ludzi tak samo głodnych jak on. Na całym palenisku smażyły się ryby, a beczka zaledwie do połowy była opróżniona. Wystarczyło by dobrego jedzenia dla setki zgłodniałych.

Wciąż trzymał dłoń na drzwiach probierni ryb i upijał się zapachem. Jeśli będzie nieskrępowany, któregoś z najbliższych dni, kupi sobie całą dużą beczkę ryby i ogryzie wszystkie co do ości.

— Gdzie się śpieszysz, Candy-Man.

— Nie mam czasu, panie szefie. Niech mnie pan zostawi w spokoju.

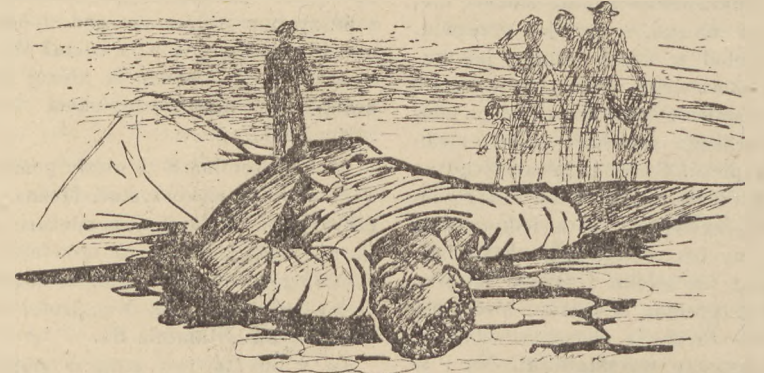
Nocny policjant trząsnął kajdankami, sięgając po jego rękę. Candy-Man cofnął się.

— Myślę, że będzie lepiej jak cię zamknę. Obejdzie się bez kłopotów na przyszłość. Mam dosyć ścigania czarnych zabijaków po całym mieście w każdą sobotę, co noc.

— Panie szefie, nigdy w życiu nie robię krzywdy. Z nikim nie szukam zwady. Pan musiał mnie pomylić z jakimś innym negrem, panie szefie. Po prostu idę, żeby się zobaczyć z moją dziewczynką.

— Wszystko jedno. Myślę, że będzie bezpieczniej jak cię zamknę do poniedziałku rano. Nastaw ręce pod kajdanki, negrze.

Candy-Man cofnął się. Miał na myśli swoją żółtą dziewczynkę. Wcale nie był skłonny zamienić



ją na dwa dni w więzieniu za żelazną kratą. Cofnął się.

— Zastrzeleć cię, negrze. Jeszcze krok, a pociągnę spust.

— Panie szefie, bardzo proszę, niech mnie pan zostawi w spokoju. Nie zatrzymam się nawet na kolację, od razu czmychnę z miasta. Bo ja właśnie mam się zobaczyć z moją dziewczynką, zanim niedzielne słońce wzejdzie.

Candy-Man cofnął się. Nocny policjant upuścił kajdanki i wyszarpnął rewolwer. Pociągnął za

cyngiel, celując w Candy-Mana i Candy-Man upadł.

— Naprawdę nie było po co, panie szefie. Jestem sobie zwykłym, dużym, czarnym negrem o niespokojnych nogach. Ogromnie lubię wędrować, a nie stać w miejscu.

Zewsząd nadbiegali ludzie, niektórzy z nich cofnąwszy się poszli w swoją drogę. Inni zaś przystanęli patrząc na Candy-Mana, gdy ten próbował czy nogi utrzymać go potrafią. Miał jeszcze dwie mile do przebycia, nim stanie na szczycie wzniesienia.

Tłum zgromadził się wokół, a nocny policjant schował rewolwer. Candy-Man próbował wstać, żeby iść dalej. Przecież żółta dziewczynka wypatrywała go, stojąc na paluszkach przed drzwiami.

— Panie szefie, ja naprawdę bardzo przepraszam, że pan musiał się fatygować i strzelać do mnie. Nigdy nie zwracałem białym głowy i oni powinni też dać mi spokój. Ale nie mi po życiu, jeśli tak ma być nadal. Myślę, że będzie najlepiej, jeśli po prostu kité odwałę. Podajcie mi koc, żeby przykryć skórę i kości.

— Stul pysk, negrze — powiedział pan szef. — Jak nie przestaniesz mleć językiem, wpakuje ci drugą kulkę, to cię przynagli.

• Ludzie cofnęli się w bezpieczną odległość. Nocny policjant położył dłoń na kolbie rewolweru, żeby mieć go pod ręką w razie potrzeby.

— No, jeśli tak ma być, to zrobicie przejście dla Candy-Mana, bo oto odchodzę.

\* Tytuł oryginalny „Candy-Man Beechum”.

## Świat widziany na wskroś

(Dokończenie ze str. 7)

13 lipca.

Jest jeszcze trzecia warstwa dzieła Żukrowskiego. Ta, którą już w „Misiach” dziesięć dni temu odkryłem z radosnym zdziwieniem, a która w każdym niemal opowiadaniu skrywa szlachetną rudę myśli.

Jest to zaduma nad światem, ludźmi i prawami pisarskiego działania chcącego przetrwać czas twórcy.

Dyskretnie i lekko wprowadzone w tok narracji refleksje ogólne, czy to nad sprawą ojcostwa, czy odpowiedzialności za los drugiego człowieka, nad mądrą dialektyką starzejącej się miłości, nad ograniczeniem swobody, które jest jednocześnie wolnością, nad powołaniem pisarskim i sensem dziełającej się przemiany społecznej — wszystko to pogłębia wizję świata Żukrowskiego, rozszerza jego horyzonty, obdarza istotną funkcją poznawczą.

Umiejętność zatrzymania się we właściwym miejscu na wielokrotnym, pytańniku, czy zdolność wstrzemięźliwego operowania wykrzyknikiem wzmacnia walor artystyczny, uintensyfikowała warstwę intelektualnej utworu.

(W artykule trzeba to będzie podkreślić ze szczególną wyrazistością, wybić jako konkretną zdobycz w rozwoju utalentowanego pisarza).

14 lipca.

Z tym artykułem będzie bardzo ciężko. Trzeba będzie wywałoz ja-

kieć wady. Artykuł musi być w miarę krytyczny. Dąłoby się chyba do wieści, że trochę mimo wszystko, zbyt łagodni, zbyt dobrzy są ludzie w „Córeczce”. Zbyt naiwnie czasami rysuje się dobroć duszność wujasz ków. Trochę za kolorowi są przygodni spotkani w Zoo bliagierscy neozagłobiści. Można to będzie podciągnąć pod zarzut ułatwionego optymizmu. Można będzie także postawić zarzut ocierania się o niebezpieczeństwo exhibicjonizmu. Trzeba przecież coś o wadach, nie wolno tylko o zaletach.

Ale zasadniczo rzecz trzeba napisać tak, aby była radosnym wskazaniem uroczego dziełka, w którym językiem artystycznej prawdy przemawia do nas świat widziany na wskroś.

Świat widziany na wskroś — taki chyba powinien być tytuł. No, i recenzja musi być króciutka, bo podobno nie uchodzi pisać dużo o książeczce, która nie liczy nawet dwustu stron.

15 lipca.

Powrót. Ostatnie spojrzenie na jeźdźcę. Leczony zrył z pamięci kilku dni. W pociągu powolne oswojenie się z myślą o redakcyjnym pokoju.

30 lipca.

Przejechałem w redakcji notatki z lektury. Coraz trudniej zdecydować się na artykuł. Jak to wszystko zbić w całość? Jak przetłumaczyć na język publicystyczny?

A może by — wprost?

Zygmunt Lichalik



# Znaczenie Zygmunta Sierakowskiego w powstaniu 1863 r.

„Ukochanym jego marzeniem była niepodległa Polska i związana z nią wolna Rosja“.

Herzen o Sierakowskim.

27 czerwca minęła rocznica śmierci Zygmunta Sierakowskiego, dowódcy powstania na Litwie w 1863 r. Naczelnik działań wojennych z ramienia Rządu Narodowego, po klęsce birżańskiej, już w maju zostaje ujęty przez władze carskie, uwięziony, a następnie stracony na szubienicy w Wilnie.

Śmierć Sierakowskiego jest klęską dla powstania litewskiego pozbawionego teraz wodza i ukochanego przez wszystkich towarzysza Sierakowski to jedna z piękniejszych postaci tego okresu. Cechuje go, tak charakterystyczne dla ówczesnych działaczy, bezgraniczne poświęcenie dla sprawy polskiej. Obok tego, dzięki ogromnej trosce o los drugich, a także pod wpływem przyjaciół Rosjan, rozumie konieczność zmiany stosunków społecznych, szczególnie zaś interesuje się sprawą włościańską. Obok Dąbrowskiego Sierakowski jest najgorliwszym propagatorem sojuszu ruchu polskiego z rewolucyjnym ruchem rosyjskim.

W 48 r. studiując na uniwersytecie petersburskim grupuje wokół siebie młodzież polską. W tym też roku za nielegalne przekroczenie granicy Galicji zostaje ujęty i zesłany w głąb Rosji. Powróciwszy z wygnania w 57 r. kończy Akademię Sztabu Generalnego z bardzo dobrym wynikiem. Mniej więcej w tym okresie tworzy konspiracyjne koło oficerów Polaków. Przez koło to przeszło wielu wybitnych późniejszych działaczy powstaniowych jak: Dąbrowski, Padlewski, Zwierzdowski, Wróblewski, Heidenreich i inni. Na zebraniach omawiano sprawy społeczne i sprawy przyszłego powstania. Czytano wspólnie „Kółkoła“ redagowanego przez Herzena w Londynie. Sierakowski jest łącznikiem koła z demokracją rosyjską, z Czernyszewskim, a później z organizacją „Ziemia i Wola“ do której prawdopodobnie sam należał.

Stanowisko rewolucjonistów rosyjskich wobec ruchu polskiego było przychylnie. Tak Herzen jak Bakunin, Czernyszewski i inni, uważali, że zwycięstwo demokracji w Rosji jest niemożliwe bez zwolnienia narodów uciskanych przez carat. Wierzone, że oswojenie się Polaki ułatwi rozbięcie caratu. Takie stanowisko dawało podstawę do porozumienia i współ-

działania, o które zabiegał Sierakowski.

Pod wpływem Czernyszewskiego, z którym łączyły go bliskie i serdeczne stosunki, ze stanowiska liberalno-obszarniczego, przechodzi do uznania konieczności walki chłopów o ziemię bez wykupu<sup>1)</sup>.

Żywa inteligencja oraz wielka dla każdego życzliwość pociągały ku niemu. „Kochał wszystkie istoty od roślin poczynając aż do człowieka... wszechmiłość cechowała duszę Zygmunta i wyróżniała go od wszystkich ludzi“ — mówi o Sierakowskim Dybowski<sup>2)</sup>.

Czasem zarzucano mu, że jest entuzjastą mijającym się z rzeczywistością, ale wszyscy przyznawali mu nieprzeciętne zalety i duży wpływ na otoczenie.

Jako oficer rosyjskiego sztabu generalnego Sierakowski cieszy się sympatią i uznaniem swoich przełożonych. Minister wojny Milutin powierza mu opracowanie projektu nowoczesnego więziennictwa w związku z czym wyjeżdża w r. 61 na kongres do Londynu. Z własnej inicjatywy Sierakowski przedstawił projekt zniesienia kary cielesnej w wojsku, uzasadniając na podstawie statystyki, że liczba przestępstw wzrasta w tych armiach w których stosowane są kary cielesne. Projekt zostaje przyjęty.

W czasie pobytu w Londynie Sierakowski nawiązuje stosunki z Herzenem i Bakuninem — co niewątpliwie miało swój wpływ na zawarcie w rok później ugody między Herzenem a Komitetem Centralnym.

W grudniu 62 r., Komitet Centralny mianuje Sierakowskiego dowódcą przyszłego powstania na Litwie. Sierakowski przyjmuje ten obowiązek aczkolwiek chciałby przesunąć termin rozpoczęcia walki wiedząc, że Litwa nie jest jeszcze do powstania gotowa. W czasie swych bytności w Wilnie zachęca tak Czerwonych, jak Białych do szybszego organizowania się — zaznajamia ich z ruchem rewolucyjnym rosyjskim i ze stosunkiem tego ruchu do sprawy polskiej.

W Petersburgu nakłania Ohryżkę do przyjęcia stanowiska agenta Rządu Tymczasowego. Agencji petersburskiej powierzono zadanie

<sup>1)</sup> Pisze o tym szerzej J. Kowalski — „Rewolucyjna Demokracja rosyjska a powstanie styczniowe, Warszawa 1949.“

<sup>2)</sup> Benedykt Dybowski, Pamięci Zygmunta Sierakowskiego, Lwów 1905, str. 14.

wspomagania powstania litewskiego.

W kwietniu 63 r. Sierakowski rozpoczyna działania wojenne na Litwie, gdzie wcześniej jeszcze działały bez porozumienia z Wydziałem, partyzantki: Narbutta, Dłuskiego i ks. Mackiewicza.

Plan strategiczny, wnioskując z relacji Gleysztora, nie był narzucony przez Komitet Centralny, ale ułożony przez samego Sierakowskiego. Wedle tego planu powstanie miało się rozszerzyć znacznie pod względem terytorialnym. Sierakowski chciał opanować Dynaburg, Rygę i Polagę. Dynaburg słabo obsadzony miałoby zająć organizacja inflancka. Sam Sierakowski zebrałszy dotychczasowe oddziały partyzanckie chciał się zorganizować w kowieńskim i ruszyć do Polagi dla przyjęcia transportu ochotników i broni, które statkiem miał przywieźć płk. Łapiński ze Szwecji. (Jeszcze w r. 61 Sierakowski z Mierosławskim układali plan zorganizowania transportu morskiego do Polagi). Z zajętego Dynaburga chciał Sierakowski podejść do Rygi. W guberni mińskiej powołany na dowódcę kpt. Zwierzdowski miał zdobyć Horki i wzmocniony ucząc się tam młodzieżą, udać się przez gubernię smoleńską, twerską i mo-

skiewską do Kazania dla połączenia się z powstaniem organizowanym tam przez Kieniewicza.

Śmiałe plany Sierakowskiego nie zostały zrealizowane; rozpoczęte 18 kwietnia działania wojenne kończą się klęską powstańców 7/8 maja. W krótkim tym okresie udało się Sierakowskiemu zorganizować największy w guberniach litewskoruskich oddział liczący ponad dwa tysiące ludzi, w tym kilkuset posiadających broń palną. W miarę posuwania się oddziału Sierakowskiego ochotników przybywało. Do oddziału przystępowało wielu chłopów i to nie tylko polskich ale i litewskich. W oddziałach litewskich komendy wydawano po litewsku. Kar żadnych nie stosowano. W obozie w Teresborze gdzie ćwiczą oddziały, dzień rozpoczynano wspólną modlitwą. Niezwykle podniosły nastrój i sama postać dowódcy Dolegi-Sierakowskiego pociągała tak szlachtę jak lud. Pomimo to, po kilku szczęśliwych potyczkach i zwycięstwie pod Ginetynami, 7/8 maja dochodzi do bitwy pod Birzami, w czasie której Sierakowski dostaje się do niewoli.

W historii 1863 roku zapisał się Sierakowski przede wszystkim jako dowódca powstania na Litwie, ale bardziej od spraw wojennych interesuje nas dziś jego działalność

w Petersburgu. Sądząc, że praca na ten temat, przy wykorzystaniu źródeł rosyjskich, byłaby bardzo interesująca. W każdym razie można już dziś stwierdzić, że to, co w ruchu 1862/63 było nowe i postępowe, tak w sprawach społecznych jak narodowościowych, było dziełem ludzi pochodzących ze środowiska petersburskiego i kijowskiego. Młodzież guberni litewskoruskich, znając tamtejsze stosunki i kontaktując się z rewolucjonistami rosyjskimi, wywierała wpływ na posunięcia Komitetu Centralnego i Rządu Narodowego.

Kierownikiem i duszą środowiska petersburskiego był Zygmunt Sierakowski. Stamtąd wyszli później Dąbrowski i Padlewski, który w imieniu Komitetu Centralnego zawarł umowę z Herzenem, a później z Komitetem Wolnej Rosji. W umowie tej obie strony uznają prawo włościan do uprawianej przez nich ziemi, a każdemu narodowi przyznają zupełne prawo rozporządzania swoim losem.

Oceniając sytuację na tle ówczesnych stosunków w społeczeństwie polskim można stwierdzić, że kierownictwo ruchu zrobiło znaczny krok naprzód w kierunku zdemokratyzowania życia społecznego i politycznego w Polsce.

E. S.

## NA DRUGIM PLANIE (3)

# Próba epiki

Kartkując podręczniki historii naszego piśmiennictwa zauważyć musimy że nigdy nie byliśmy krajem bujnych tradycji eposu. Do 18 stulecia włącznie ambicje epickie realizowano u nas — najogólniej mówiąc — przeważnie za pośrednictwem poetyckich tłumaczeń lub mniej czy więcej oryginalnych przeróbek. XIX wiek przyniósł „Pana Tadeusza“. Na do brą sprawę oprócz tej wspaniałej historii ostatniego zajazdu na Litwie nie mamy niczego, co pozwalałoby z dumą mówić o polskiej poezji epicznej. Bo przecież nawet „Pan Balcer w Brazylii“ to ciężkie drewniane poemacisko, stanowiące raczej wyraz szlachetnych ambicji i zamierzeń niż osiągnięć i epickich możliwości wybitnej autorki doskonałych często wierszy lirycznych.

Na tym tle wyraziście rysuje się odwaga śmiałości podejmujących homeryckie zadania. Wyraziście występuje także niebezpieczeństwo mierzania się na zamiary, niebezpieczeństwo załamania się pod ciężarem podjętych heroicznie zobowiązań.

Tę odwagę i te niebezpieczeństwa zilustrował Wilhelm Szewczyk w swojej próbie epickiego poematu.\*)

Szewczykowa próba epiki poetyckiej godna jest uwagi przede wszystkim ze względu na rozmiar i wielką aktualność społeczno-polityczną samego tematu. Autor ku si się o ukazanie w syntetycznym streszczeniu historii walki naszych górników przez całe pokolenia dążących do zdobycia tej pozycji, jaką zajmują dzisiaj w Polsce Ludowej. Wytężony trud przedstawia nie się kapitalistycznym machinacjom Donnersmarcków z końca XIX stulecia, przeciwdziałanie roz-

bijackiej robocie Solgerów, Delochów i Meltzenów, początki ruchu socjaldemokratycznego, powstania śląskie, walka z sanacją, dywersja w czasie okupacji, wreszcie zryw do nowych form życia i do współzawodnictwa pracy dla Polski Ludowej — to suma zjawisk, to wielki ciąg wydarzeń, które usiłuje opowiedzieć tokiem relacji epickiej „Poemat górniczy“.

Mierzenie się na zamiary nie zawsze jest zasadą słuszną. Zasada ta obraca się czasami przeciwko twórcom, którzy w nią łatwowiernie uwierzyli. Szewczykowi nie starczyło sił na zrealizowanie zamiaru. Dysproporcja między wielkością planów, rozległością tematu, historycznością jego ujęcia a zasobem wykorzystanych środków artystycznych, wąskością stworzonych w poemacie ram narracyjnych, fragmentarycznością obrazu i małą przejrzystością ukoźywania społecznych korzeni zjawisk — sprawia, że utwór rci wrażenie tylko szkicu, tylko brulionu, tylko części surowego materiału, który z bogactwem, a raczej zwielokrotnionym, przepracowany artystycznie i ujęty w ściślejszą formę bardziej jednolitej konstrukcji dałby dopiero całość zwartą, logiczną, zwycięską.

Autor odczuwał widocznie ten brak, bo dodał do swojego szkicu „Komentarze prozą“. Te komentarze mówią bardzo dużo o złożoności i powadze tematu. Rąbnąć trzeba prawdę: mówią znacznie więcej niż sam „Poemat“. To dobrze świadczy o komentarzach, ale źle o utworze. Za mało w nim ciągłości, pełni, zwartości, za duży brulionowy migawek, skoków, utrwokowych relacji. Temat został skrzywdzony pospieszną ogólnikowością, okałcony zbyt ciasną formą kronikarskiego raptularza.

Co więcej, w swoim raptularzu kronikarskim — i tak już skazanym na brak wewnętrznej jednolitości — Szewczyk zdecydował się na wybór bardzo trudnego beha-

tera. W utworze epickim bohater jest elementem o podstawowym znaczeniu dla precyzji artystycznego organizowania materii narracyjnej. Bohaterem „Poematu górniczego“ uczynił autor niezindywidualizowaną masę górniczą, całe pokolenie walczące o sprawiedliwość społeczną. To sprowadza się do tego, że bohaterem utworu jest idea, a nie człowiek. Oczywiście, ta idea służy człowiekowi, człowiek ją powołał do życia. Jednak człowiek ją powinien wyrazić. Konkretny człowiek jako wyraziiciel ogólnej masy.

Szewczyk odwrócił tę zasadę działania artystycznego. U niego masa wyraża człowieka. Odwrócenie tej zasady zawiodło utwór artystycznie i koncepcyjnie w mglistość, w spotęgowaną fragmentaryczność, w jeszcze większą brulionowość i bezkształtność kompozycyjną. W konsekwencji zatarło lub uprościło prawdę historyczną, zubożyło i zwulgaryzowało prawdę artystyczną „Poematu górniczego“. Z tego głównego błędu wynika wiele błędów pochodnych, których można by wynotować długą listę. Nie chaj tym razem wystarczy wskazywanie zasadniczych pomyłek.

Te pomyłki każą nam traktować Szewczykową próbę epiki poetyckiej jako negatywne wzbogacenie naszej wiedzy o trudnościach i możliwościach mało uprawianego u nas gatunku literackiego.

Z. L.

## CZYTAJCIE

„SŁOWO Powszechne“

PISMO CODZIENNE

## Książki

Teologiczne, beletrystyka, młodzieżowe

WYDAWNICTWA „PAX“

## DEWOCIONALIA

Figury gipsowe, świece liturgiczne, łańcuszki, medaliki, krzyżki, ryngrafy, wota, obrazki, korpusy Chrystusa, różańce.

## SPRZĘT KOŚCIELNY

Lichtarze i krzyże ołtarzowe, dzwonki harmonijne, procesyjne, pojedyncze.

poleca:

„VERITAS“

Warszawa, Widok 5  
Mokotowska 43  
Białystok, Dąbrowskiego 1  
Siedlce, gen. Świerczowskiej 20  
Toruń, Rynek Staromiejski 17  
Bydgoszcz, 1 Maja 54  
Sopot, Prez. Biełun 79  
Gdynia, Świętojańska 46

Kraków, Sławkowska 20  
Tarnów, Krakowska 39  
Nowy Sącz, św. Ducha 3  
Częstochowa, 7 Kamienic 27  
Pabianice, Armii Czerwonej 27  
Łódź, Piotrkowska 88  
Wrocław, Katedralna 6  
Poznań, Kantyka 10

CENTRALA I HURTOWNIA WARSZAWA, ul. MOKOTOWSKA 43  
zamówienia wykonujemy za zaliczeniem

\*) Wilhelm Szewczyk: „Poemat górniczy“, Książka i Wiedza, rok 1951, str. 40.

Marek A. WASILEWSKI

## SNOBY ZAGRANICZNE

Autobus wyjeżdżający z Nowego Sącza szybko polyka żółty od kurzu makaron szosy, obok którego wije się spieniony i huczący Dunajec. Pochłanianiem oczami krajobraz. Ubrane w zieloną szatę Pieniny ze swymi szczytami i przełęczami, dolinami i ciemnymi pasmami lasów wprawiają mnie w zachwyt. Jąde rzdziawitszy twarz z wrażenia i tylko od czasu do czasu kłapię zębami o zęby, gdy autobus podskoczy na jakimś wyboju.

nane zdanie z tak niezrównanie zblazowaną i wyniosłą miną. Głębną pogardę dla Pienin ze względu na ich pośledni kaliber w porównaniu z Moldenkirchen był wszystkiego trzy godziny przejazdem, mając lat cztery i z tej racji śnieżne szczyty alpejskie zatary się nieco w jego pamięci. Od czegoż jednak jest polot i bujna wyobraźnia.

Tak, nasz snob zagraniczny, prawdę mówiąc, nie pamięta z

nań cień wstydu, jako na przynależnego do tak przezeń za nic mianej nacji, do której sam należy.

Uwielbienie dla zagranicy rozpoczyna się u naszego snoba od papierosów i biegnie poprzez trunki, garderobę, sztukę do... kobiet. Ten kult cudzoziemczyzny piętnowany już przez Krasickiego jest snobizmem dziedzicznym, przekazywanym z pokolenia w pokolenie, a co godne podkreślenia, to, że nie wpływa on bynajmniej z istotnie lepszej wartości wyrobów obcych nad polskimi, lecz wyłącznie z chęci zadowolenia własnego snobizmu, przy pomocy wszystkiego, co tylko po słowach „Made in” nie zawiera słowa „Poland”.

Snoby zagraniczne dzielą się na dwa ogólne typy: snobów żyjących przeszłością i snobów żyjących przyszłością. Pierwsza grupa jest liczniejsza, a przynależnemu do niej nie imponuje absolutnie nic. Powie mu się o pięknie Warszawy, snob będzie usiłował przelicytować ją pięknem Złotej Praży, gdy zacznie pisać o piękno Pragi, snob powie, że to nie w porównaniu z Paryżem, gdy pochwalisz Paryż, snob wyśle cię do Buenos Aires, albo do Canberra, w zależności od tego jakim prądem urbanistycznym bardziej holduje. Snob przelicytuje cię zawsze. Gdy ty o Międzyzdrojach, on o Cannes, gdy ty o Krakowie, on o Florencji, gdy ty wreszcie o Alpach, on o Himalajach. Nie ma na takiego potęgi. Był wszędzie i widział wszystko.

Dobry snob zagraniczny nie stroi od makaronizmów, bez względu na to, czy snobuje się na Francuzka, czy Anglika. W tyradach jego pojawiają się obce słowa wypychane mniej lub więcej hojnie, oraz z mniejszym, lub większym sensem. Nie rzadko pojawiają się całe cytaty, jak to zdania Napoleona, lub fragmenty szekspirowskich dramatów. Nasz snob oznajmia w ten sposób światu, jak żywy jest jego kontakt z kulturą umiłowanego przezeń narodu.

— A la guerre, comme a la guerre...

Czytelniku! Wierzaj mi, że snob zagraniczny może być bez egzaminu przyjęty do koła esperantystów, jako zaawansowany. Nie chcę przez to powiedzieć, że dr Zamenhoff musiał być snobem zagranicznym, chociaż nie uloga kwestii, że nie był snobem swojskim.

Snob zagraniczny jest snobem propagandystą. Ciekawe jest spotkanie dwóch snobów zagranicznych, powiedzmy sobie romanisty z anglistą. Snob, rzecz oczywista albo studiował języki, albo je studiował, albo też urodził się już z biegłą ich znajomością. Pojedynki snobów zagranicznych są nie byle jakie. Strzela się tam od razu z najgrubszych dział: Moliere ściera się ze Shawem, Bleriot z braćmi Wright, a Pascal z Beccomem. Zaden ze snobów nie da za wygraną. Zobaczymy jak podobnie rozmawia ze sobą dwóch snobów sportowych, będących kibicami dwóch różnych drużyn piłkarskich. Zamiłowanie do narodu, czy rasy, ma w gruncie rzeczy to samo podłoże emocjonalne co kibicowanie temu, czy innemu klubowi.

Psy i koty snoba zagranicznego noszą rzecz prosta odpowiednio wyszukane nazwy, a w wypadkach skrajnych mogą je nosić również rybki akwariowe, papużki, kanarki i inne eksponaty natury zoologicznej, nie wyłączając członków rodziny. Ktoś, kto woła na psa „Jackie!”, a nie powiedzmy „Mucha”, czy „Azor” jest niewątpliwie kimś, coś reprezentuje. Ergo, dwóch snobów może z powodzeniem poznać swe inklinacje, gdy mijając się wciąją na swoje psy.

Pozujący snob zagraniczny dla podkreślenia swego snobizmu doбира sobie odpowiednią lekturę. Snob taki, który, nawiasem mówiąc, może absolutnie nie posiadać zdolności czytania w danym języku, rozkłada w publicznym miejscu „Life'a” i... udaje, że czyta. To samo dotyczy może beletrystyki, czy szczytów literatury.

Po wyjściu z kina snob zagraniczny rozpoczyna utyskiwanie.

— Uważam, że napisy psuły cały film.

— No dobrze — powiada jego oponent — ale to zło konieczne. Napisy pomagają naszemu widzowi zrozumieć treść obrazu

— Dajże spokój! — wstrząsa się snob. — Język był tak prosty, że nawet dziecko by zrozumiało. Uważam, że możnaby z powodzeniem zrezygnować z polskich napisów.

Czyż trzeba dodawać, że snob czytał napisy i bez nich zrozumiałby niewiele? Ale, nie w tym rzecz. Snob jest za pan brat z obcą kulturą i radby, aby nawet tabliczki uliczne w jego mieście rodzinnym głosiły: „Piękna street”, „Marszałkowska street”, „Wolność square” itd.

Snob i zagraniczne kosmetyki. Oto problem nadzwyczaj istotny w życiu zagranicznego snoba pięci żeńskiej. Przyjrzyjmy torebkę takiego snoba i spenetrujemy uważnie komplet kosmetyków na który składa się: a) puder, b) róż, c) szminka do ust, d) tusz do rzęs, e) perfumy, f) lakier do paznokci. Przyjrzyjmy się teraz uważnie opakowaniom: Elizabeth Arden, Gerlain, Max Factor, Harrison, Helena Rubinstein itd. A teraz niechaj ekspert zbada zawartość. O hańbo i wstydzie! Snob został zdemaskowany. We wspaniałych opakowaniach, których pierwotna wartość dawno została wyczerpana, kryją się krajowe kosmetyki, podszywające się pod Maxa Factora i Harrisona. Ba! Ale, któż jest tak wytrawnym ekspertem? Któż zbadał woreczków damskich przepasne krainy? Kto, zresztą, śmie powiedzieć w oczy pięknemu snobowi, że jego puder na którym napisano „Society Make-Up, Hollywood, Le Maquillage des Stars” jest zwykłą „Vegą — Warszawa, Cicha 6”? Pokażcie mi tego śmiałka, który nawet jeśli odkryje tę tajemnicę, obwieści ją światu! Nie ma takiego. Nie ma i dlatego żeński snob jest uratowany. Dla tego właśnie może zapomnieć szminkę, czy puder, zostawiając je (oczywiście wraz z opakowaniem) w koleżanki, czy znajomych. Nie ulega wątpliwości, że domniemana firma tych kosmetyków stała się podstawą żywej dyskusji pomiędzy gospodarzami i snob ma po co wracać, tłumacząc:

— Zostawiłam, ale musiałam się wrócić, bo to Elizabeth Arden. Sama pani rozumie. A teraz tak ciężko dostać...

I jakże bosko śledzić wyraz twarzy pani Halinki, która zielenieje z zezdrości bo ten bałwan (jej mąż) identyczne pudełko wyrzucił w zeszłym roku na wczasach, wypływając doń pestki z niedojrzałych renklod.

Aby dowiedzieć, że snoby rodzaju męskiego nie wiele różnią się od snobów rodzaju żeńskiego wystarczy przejść z kosmetyków w dziedzinę farmacji. Jest rzeczą znaną każdemu, kto miał kiedyś w ręku kodeks Gehe'go, że różne kraje produkują te same leki pod różnymi nazwami fabrycznymi. Niech no tylko znajdzie się taki jeden z drugim chory z urojenia i niechaj w dodatku jego lekarz będzie zagranicznym snobem... trup w kalszczach! Chory z urojenia wsiąki! Przepuszcza się mimo uszu niezbity fakt, że nasze fabryki od dwudziestu lat produkują te właśnie, a nie inne medykamenty w kraju, że cieszą się one powodzeniem, że rezultaty leczenia są bardzo dobre, a co więcej, że ten właśnie specyfik eksportujemy do kilku sąsiednich krajów. To nie ważne! Nie ważne również, że wysłany jak wół, skład chemiczny leku pokrywa się zarówno co do zawartości procentowej, jak i jakości składników z lekiem, którego poszukuje chory. Nie! Nic z tego. Nasz chory z urojenia sprowadza lek z Belgii, Anglii, czy Stanów Zjednoczonych. On bowiem musi mieć tamto, nie tylko ze względu na nazwę, która sama już fascynuje, nie tylko ze względu na możliwość celebrowania tak zadawalających zagranicznego snoba funkcji, jak uregulowanie opłaty celnej, ale dla samej przyjemności stwierdzenia, że jemu na wet amerykańskie specyfiki nie pomagają.

Snob zagraniczny przynosi swój kult dla obcokrajowszczyzny również w dziedzinie stroju. Okres działania UNRRA był złotym wiekiem dla naszych snobów. Wtedy to właśnie powstała zaena i szlachetna instytucja ciuchów zagranicznych. Samo słowo „ciuch” zrobiło się nieco przed tym i oznaczało używaną, a nawet lekko podniszczoną garderobę. W okresie działalności UNRRA słowo „ciuch”

chy” zaczęło oznaczać miejsce, targowisko na którym można było nabyć takowe w większym wyborze i w większych ilościach. Snoby odżyły jak ukwiały po morskim przypływie. Otrzymały oczywiście zastrzyki ciuchowych hormonów, czy jeśli ktoś woli witaminy „ciu”. Snoby biegały na ciuchy i kupowały, kupowały, kupowały... Pojawiały się masowo sukienki z napisami „Baby”, „I love you”, „Kiss me” itd.

Skończył się dopływ ciuchów, ale ciuchy te zaopatrzone były w naszyte etykiety firmowe. Pozostało więc odpruć naszywkę i przeszyć ją, czy to do polskiego krawata, czy polskiej marynarki, lub koszuli. Snob pokazywał polski krawat z napisem „Langdon. The Man's shop. Mount Vernon” i stawał się momentalnie jednostką poważaną i wysoko notowaną wśród snobów. Taki napis starczał za wizytówkę. Człowiek, który nosi krawaty Langdona jest bez kwestii snobem na odpowiednim poziomie snobizmu, a więc — wstęp wolny do wszelkich ekskluzywnych kółek snobów.

Nie oszczędził snobizm zagraniczny i filmowej muzy. Gdyby tylko wszedł na nasze ekrany film typu „Zdradzieckie skały”, ogonki wypełniły by się snobami zagranicznymi. Tu właśnie pedziliby wszyscy posiadacze krawatów Langdona, wszystkie posiadaczki bluzetek „I love you”, tu spotykałoby się chłopców z małymi zadartymi daszkami u czapek a la David Cooperfield i dziewczęta w bajecznych kolorowych sweterkach made

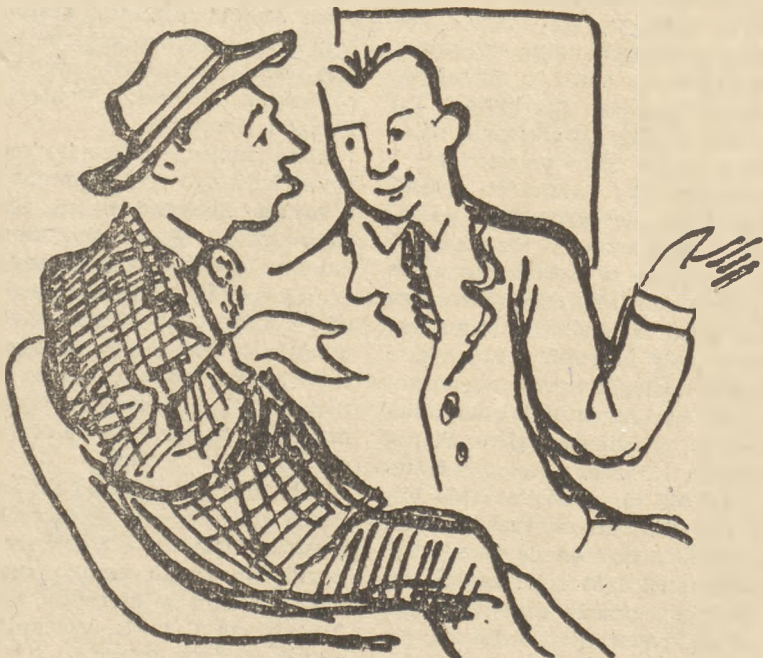


in USA. Największa brednia i szmiera firmowana znakiem Metro-Goldwyn Mayer, Paramount, czy RKO-Radio wzbudza bowiem wśród nich nieklamany zachwyt i entuzjazm.

Wspomnijmy wreszcie o ostatnim przejawie zagranicznego snobizmu, dotyczącego sztuki w ogólności. Snobizm ten nie różni się niczym od snobizmu mego współtowarzysza podróży z autobusu. Jego fascynująca stroną jest to, że gdyby katedra z Reims stała nie w miejscu gdzie ją wzniesiono, a powiedzmy w Zgierzu, gdyby Mona Liza była dziełem Cheimonskiego, a Mojżesz Michała Anioła stworzony był przez Dunikowskiego, z miejsca wszystkie omawiane dzieła sztuki straciłyby w oczach snoba dzieł wiedziasiat procent swej wartości.

Facet zachwyca się Cezannem i Matissem. Wolno mu. Ma rację, niech się zachwyca. Ale niech wie coś niecoś o malarstwie polskim, na które spogląda stale jak na odbicie w krzywym zwierciadle. Nie chodzi o to by snoba przemienić dotknięciem różdżki w szwinistę — bynajmniej! Ale trzeba wpaść w ograniczoną mógownię, że obiektywizm osądu i znajomość własnej sztuki nie przynosi wcale hańby, ani nie jest żadnym zbroczeniem estetycznym, jak to się wielu snobom wydaje.

Pokażcie mi snoba, który przyznałby się publicznie, że powiedział, nie lubi muzyki Mozarta, że Mozart go nuży. Nie ma takiego. Ale na mozartowskim koncercie snob puszcza muzykę mimo ucha i rozmyśla o „Zdradzieckich skałach” i „Szalonych cowboyach” Hipokryta!



Człowiek jest wrażliwy na piękno. Przeżywając pewne wzruszenia, mimo woli pragnie się nimi po dzielić z otoczeniem. Ma się ochotę emanować tego rodzaju doznania, by upowszechnić radcę życia, zadowolenie i zachwyt. Niebacznie powiadam do mojego sąsiada:

— Pięknie, co?

Sąsiad zesuwa kapelusza na tył głowy, wydyma dolną wargę i mówi:

— Pięknie? Paaanie! — przeclaga z poczuciem pewności siebie — Czy był pan kiedy w Moldenkirchen?

— Nie — wyznaję nieco zaskoczony.

— To widać. W Moldenkirchen, taam są dopiero góry! Jeśli pan jest poszukiwaczem pięknych krajobrazów, niech pan jedzie w Alpy do Moldenkirchen.

— Niech pan jedzie — powtarzam — łatwo panu powiedzieć, a zresztą nasze Pieniny...

— Paaanie, a cóż tam nasze Pieniny przy...

Mój rozmówca może nie kończyć. Wiem już z kim mam przyjemność. Snob zagraniczny w całej okazałości. Jeden z tych, którego przodkowie udawali się do wód, najeżdżali masami Paryż, Rzym, Madryt i Londyn, którzy mogli sobie na plecach wypisać rozpoczyna dewizę: „Cudze chwalicie, swego nie znacie...”. To właśnie jeden z tych, który wtedy dopiero cenilby polską weinę, gdyby wróciła ona z jakimś szkockim, czy walijskim stemplem, na jakim możnaby odcyfrować: „Made in Great Britain”.

Otóż i jest nasz snob. Jego wydyta wargę wyraźnie wskazuje dorównaniu z Alpami, a zmarszczone czoło świadczy niedwuznacznie o tym, że wspomina w tej chwili piękno Moldenkirchen, którego niezatarty urok wyeksportował, a raczej przemycił ze Szwajcarii, nie uiszczając zań ani franka opłaty celnej. To właśnie pozwala mu w tej chwili wygłaszać tak niezrów-

Moldenkirchen wiele więcej ponad ponczone ciastka z miejscowej cukierni i gwoździ, który uwiierał go w nogę, a wyciągnięty został przez tatusia przy pomocy szczypców pozycznych od wieśniaka, w krótkich, skórzanych majteczkach. Realnie więc Moldenkirchen reprezentowane jest w jego pamięci przez dwa zasadnicze zabytki: ciastka i majtki wieśniaka. Zarejestrował je na zawsze, jak wygraną na loterii i parcelację majątku.

Niechby ktoś jednak śmiał mu powiedzieć że nie zna Moldenkirchen! Bezczelnik taki byłby z miejsca napiętnowany i snob wyciągnąłby z prawej, dolnej szufladki biurka, drewniane serduszko i szarotkę, które właśnie stamtąd sobie przywoził, co można stwierdzić oglądając na nich gotycki napis wryty nożem: „Moldenkirchen”. Niech sobie przeczyta kto chce, a jeśli ktoś nie umie czytać gotyku, to niech się w ogóle nie wtrąca do tego, gdzie jest pięknie, a gdzie nie!

Rozważywszy to wszystko, snob rozpiera się wygodnie na ławce autobusowej i powiada:

— Pan rozumie, widziało się trochę świata, tak, że jest z czym porównywać. My, europejczycy, mamy to do siebie, że dalecy jesteśmy od szowinizmu i bezkrytycznego uwielbienia tego, co własne. Niech pan weźmie takie Moldenkirchen...

— Niech pan weźmie, niech pan weźmie... Niech pana licho weźmie z takim podejściem do zagadnienia — myślę sobie, ale nie mówię nic, tylko mruczając pod nosem odwracam się z powrotem do okna, aby sycić czy urokami krajobrazu. Trafic między snobów zagranicznych, posiadając jakie takie poczucie wartości własnego narodu i jego kultury, to tak jak naglemu siać na ulu. Snob zagraniczny będzie ciął i kłuł z zaciętością pszczoły, choćby nawet padł

NOWOŚĆ

NOWOŚĆ

Ks. prof. Eugeniusz Dąbrowski

PROLEGOMENA

DO

NOWEGO TESTAMENTU

WYDANIE DRUGIE POPRAWIONE I UZUPEŁNIONE

Cena Zł 20.—

Wysła Biuro Sprzedaży Spółki Wydawniczej „PAX”, Warszawa Mołotowska 43, po wpłaceniu należności na konto PKO. Nr I-8515

Leszek PROROK

## Plenum Z.L.P. z perspektywy

O D chwili ukazania się pierwszej serii książek realizujących postulaty realizmu socjalistycznego w r. 1950, wyroczniczym szeregiem nagród państwowych, nie słabnie dyskusja o tematyce współczesnej w naszym piśmiennictwie. Kamieniami milowymi, które odznaczają poszczególne etapy jej rozwoju są zjazdy literackie z okazji plenarnych posiedzeń Zarządu Głównego Zw. Literatów Polskich. Dwa zjazdy plenarne w 1951 r. i tegoroczne plenum styczniowe zdążyły już nadać tej sroczynie działalności związkowej charakter instytucji stałej, formującej postulat i wskazania pod adresem pisarzy, inspirującej ośrodki krytyczno-literackie do wzmocnionej działalności.

Ostatnie, czwarte z kolei, plenum odbyło się w Warszawie w dniach 20 i 21 czerwca br. pod znakiem kontynuacji zainteresowań zjazdów poprzednich — walki o poziom i jakość dorobku pisarskiego, walki ze schematyzmem w twórczości i krytyce; w mniejszym stopniu nawiązano do czesiorocznych obrad nad literaturą dziecięcą.

Dyskusję otworzył zasadniczy referat sekretarza generalnego ZLP., Jerzego Putramenta, o zagadnieniach tematyki współczesnej w prozie. Wypowiedzi min. Wł. Sokorskiego i Adama Ważyka rozszerzyły te płaszczyznę na sprawy dramatu i przelży.

Tezy referatu wstępnego zbijały poglądy o ucieczce p.sarzy od tematyki współczesnej szeregiem danych statystycznych ruchu wydawniczego ostatnich dwóch lat. Istotnym problemem tej tematyki jest nie ilość lecz jakość utworów. Zastrzeżenia, obficie argumentowane cytacjami z najnowszych materiałów powieściowego, postawiły na forum dyskusyjnym centralne problemy estetyki dzisiejszej — sprawę bohaterów literackich, sprawę konfliktu i typowości w literaturze. Im też w pierwszym rzędzie trzeba przyznać miejsce w osobistych impresjach z przebiegu plenum: impresjach, które z uwagi na szczupłe ramy nie mogą kuś się o sprawczy przegląd wszystkich zagadnień poruszonych w dyskusji.

\*

**CZŁOWIEK** jest podstawowym i najważniejszym elementem dzieła literackiego. Książki, będące zlepką błędów, jeżeli zawierają żywe, plastyczne i prawdziwe sylwetki ludzkie, były chętnie czytane, wiązały odbiorców. Postaci takie gęściej niestety zbyt rzadko na kartach najnowszej literatury. Pości, wyrosłe z pewnych określonych ideologicznych założeń autora, częściej odgrywały rolę monotonicznych rzeczniczków wysuwanego poglądu, niż pełnokrwistych ludzi ze złożoną, zindywidualizowaną w konkretnej postaci całością charakteru, skłonności i bagażu myślowego. Czynnikiem który różnicuje ludzi jest w większym stopniu psychika człowieka, jego życie wewnętrzne, niż przejawy zewnętrzne i wygląd. Zarzuty dwuwymiarowości bohaterów, zwłaszcza pozytywistycznych, statyczny obraz „gotowej” postaci, bez głębszej motywacji jej czynów, bez ukazania procesu stawiania się w życiu ludzkim, — dążyły się w znacznej mierze sprawadzić do nie pogłębionej, nie odczutej czy nie poznanej psychiki. Pisarzy, zwłaszcza młodszych, od wnikliwości w tej dziedzinie odprędał przemożny strachak psychologizmu, rozpanoszonego jako ostrzeże nie za sprawą krytyki. Ucieczka od pogłębienia psychiki sylwetki literackiej szła w kierunku ozraniczenia obrazowania do zewnętrznej strony życia, która łatwiej zwerbyfikować. Drugim nurtem ucieczki było mechaniczne zgola określanie właściwości człowieka warunkami

## SPEOSTOWANIE

W związku z zamieszczoną w nrze 27 „Dziś i Jutro” notatką p.t. „Jubileuszowy wieczór w Z. L. P.” wyjaśniamy, że wkradła się do niej zeceraśka pomyłka, w przykry sposób wypaczająca sens jednego zdania: otóż pierwsze słowo w siódmym wierszu od dołu winno brzmieć e m o c j o n a l n e m u, nie zaś — jak wyodrędkowano — e m o c j o n u j a c e m u.

pochodzenia socjalnego, bez uwzględnienia szeregu istotnych zmian, wymykających się spod tego, jak określił w swym referacie J. Putrament. Istnie „lakwińskiego determinizmu”. Ucieczka przed deformatorską skrajnością psychologizmu, manieri wyrosłej na podłożu freudowskiej psychoanalizy, zapędziła wielu pisarzy w inny ciasny zaulek — tendencji behaviorystycznych w budowaniu sylwetki literackiej. Oglądając człowieka tylko od strony zewnętrznego zachowania trudno było oddać bogactwo świata, jego uczucie i myśli. Rodziły się natomiast schematyczne sylwetki, podobne niewolniczo do siebie, jak odciski jednej matrycy. Cenne i zapewne płodne w wynikach prac literackich okazały się wyrażone stwierdzenie referenta ostatniego plenum ZLP., że w poetyce realizmu socjalistycznego jest miejsce na pogiębioną, a nie „psychologiczną” bcha tera: Równie cenne jest przyznanie twórczego charakteru osobowości ludzkiej, wbrew ciasności wulgarne go socjologizmu.

Omawiane ostatnio szeroko i z kilku polemicznych stanowisk sprawy konfliktu oraz postulat typowości ludzi i zjawisk w dziele literackim wyraziły się w referacie wstępnym i w dyskusji częstym stwierdzeniem ucieczki autorów współczesnych od konfliktów, nieumiejętności ich rysowania itp. Szweryna Szmaglewska, analizując zainteresowanie czytelników, podkreśliła, iż w niejednym z utworów współczesnych dobór faktów i komentarze autorskie pozwalają już na początku odczytać nie tylko treść konfliktu, lecz i jego rozwiązanie, co z miejsca podcina zaciekanie czytelnika.

Podstawowym postulatem realizmu socjalistycznego jest żądanie typowości — przedstawiania typowych postaci w typowych sytuacjach. Krytyka rozmaicie interpretowała to ujęcie. Jerzy Putrament wystąpił przeciwko statycznemu rozumieniu typowości, pojętej jako fakt lub właściwość w życiu najczystsza. Typowe dlań jest to, co jest ważne, bez względu na częstotliwość występowania.

Ten lapidarny termin zvszka sobie na pewno wielu zwolenników, zwłaszcza w literackiej praktyce warszawskiej, która do tej pory nie zawsze umiała uporać się z doborem typowego, bez popadania w szablonowe. Termin ten nie jest jednak samodziśny. Spełnia swą funkcję tylko w oparciu o określony system wartości, który stanowi ostatoczną instancję decydującą o tym co ważne, co zatem typowe.

Typowość w dziele literackim może dotyczyć sytuacji, osób, bądź łącznie obu tych elementów. Wydaje się, że uwzględnienie tego postulat u pozostawia autorowi największą swobodę twórczej wtedy, gdy zrealizowano typowość w sytuacjach, w problematyce. Osoby natomiast może cechować nieraz daleko posunięta wyjątkowość bez szkody dla estetycznego kanonu. Wszak pojęcie ważności skłonni jesteśmy łączyć raczej ze sprawą niż z człowiekiem. Tak zresztą często bywa u wielu klasyków.

\*

**W** DYSKUSJI na plenum zabrall głos liczni autorzy. Uderzał natomiast nikły udział krytyków, w przeciwnieście do zjazdów poprzednich; uderzał tym bardziej, że pisarze wytoczyli pod adresem krytyki szereg zarzutów, które dają się sprowadzić do następującego. Krytyka nie spełnia w dostatecznym stopniu swego wychowawczego zadania. Wysuwając postulat, osadza — nie daje jednak porad konkretnych, chętnie gubi się w ogólnikach. Tymczasem pisarz szlihuje swe narzędzia i sprawdza d-koznania w sytuacjach konkretnych. W toku dyskusji na ogół dość zgodnie obarczono krytykę odpowiedzialnością za osławione doleżalności utworów o tematyce współczesnej: schematyzm, „wszystko kożem”, „laktornictwo”, tanl optyzm itp. Sadzę, że używano sobie na krytykach ponad zasłużoną miarę. Niedomagania twórczości ostatnich lat w takim samym stopniu biorą swój początek przy recenzentkim biurku srogiego Zoilla, jak również na warsztacie twórczym powieściopisarza czy poety.

Z ŻYCIA ZLP

W czasie obrad wypływały różne, istotne dla praktyki pisarskiej kwestie. Szeroko omawiano sprawy i stosunki wydawnicze. Z jednej strony przedstawiciele instytucji wydawniczych zwracali uwagę pisarzy na tereny tematyczne, godne zainteresowania a zaniedbywane np. na tematykę wojskową, na piśmiennictwo dla dzieci; kilku dyskutantów apelowało o poświęcenie większej uwagi Ziemiom Zachodnim. Z drugiej strony padały zarzuty pod adresem procedury wydawniczej, często niezadowolające go stosunku wydawcy do autora.

St. R. Dobrowolski poruszył sprawę wychowania młodych sił w literaturze. Mówca poddał ostrej krytyce zbyt szybkie przechodzenie debutantów literackich na pozycje zawodowego pisarstwa, przed zdobyciem rzetelnej wiedzy o życiu i bezpośredniego doświadczenia. Słusznie też żądał uczestnicy dyskusji wypracowania nowych metod, któreby pozwoliły pisarzowi, zwłaszcza młodemu, pogodzić pracę zawodową z wrosnięciem w życie. Sporadyczne, choćby kilkumiesięczne wyjazdy w teren, nie spełniają całkowiec tej roli.

Drugi dzień obrad zapoczątkowała obszerna wypowiedź min. Sokorskiego o sytuacji w dramaturgii. Po interesującej analizie liczbowej bieżącej produkcji dramatycznej, przyplwch i odpływach tematyki współczesnej, mówca zobrazował szereg trudności, które dramaturgia realizmu socjalistycznego ma przed sobą do pokonania. Trudności te polegają najczęściej na nieumiejętności nałożenia konfliktu społecznego na konflikt osobisty. Przyczyna sukcesów scenicznych sztuk Brandstaettera i Iwaszkiewicza leży w atrakcyjnym, przekonującym ukształtowaniu losu bohaterów. Większość sztuk współczesnych cierpi na nieumiejętność zamknięcia problematyki ogólnej w żywym, konkretnym człowieku.

Stwierdzając niejako wzmocnienie zainteresowania tematyką współczesną w ostatnich miesiącach min. Sokorski podkreślił coraz częstsze posługiwanie się kręgiem rodzinnym jako areną dla problematyki ideologicznej. Łatwiej na tym gruncie ukazać pełniejszych ludzi, zachodzi jednak obawa zagubienia wielkich zagadnień epoki w tak ciasnych, rodzinnych ramach. Żądając od twórców wielkiego dramatu politycznego, mówca wystąpił ostro przeciwko grafomanii każdego typu. Dzieło prawdziwie artystyczne — stwierdził w zakończeniu — rodzi się w atmosferze twórczego niepokoju, prawdy, miłości, nadziei i walki. Teatr wciąż na takie dzieła oczekuje.

Dalszym węzłowym punktem obrad stało się wystąpienie Adama Ważyka w obronie poezji lirycznej, po macoszemu traktowanej przez środowiska poetyckie i krytyczne. Przyczynę tego stanu Ważyk dostrzegł m. in. w mechanicznym przenieszeniu kryteriów realizmu socjalistycznego w zakresie prozy na poezję bez uwzględnienia jej odrębności. Sytuacja ta, rodząca w różnych redakcjach efemeryczne teoryjki i podziały na poezję retoryczną, obrazową, intelektualną itp. jednostronnie uprzywilejowała epikę, bliższą powieści, bardziej dostępną dla tematyki „produkcyjnej” itp. Tymczasem postulat naddania za współczesności w poezji nie oznacza jej monotoni. Współczesność winna wyrażać się w różnych rodzajach, stylach i tonacjach poetyckich. Ważyk zajął się również analizą obrazowania poetyckiego, wysuwając na czoło obrazowanie moralne, właściwe dla wielu klasyków i poezji ludowej, odmienne od powszechnego dzisiaj obrazowania wrazeniowego.

\*

**C** ZAS pokaże w jakim stopniu pisarzem uda się w praktyce wykorzystać uwagi z warszawskiej dyskusji. Obrady IV plenum Zarz. Gł. ZLP. nie miały tak nowatorskiego charakteru jak zjazd poprzedni. Obradowały się na ogół w kręgu problematyki literackiej, zarzyswanej przed pół rokiem. Świadczy to również, iż zagadnienia poddane wówczas pod dyskusję są nadal żywcenne. Leszek Prorok

WIECZORY POD LIPĄ

## Rozmowa z Weredykem

**C**ZY WIECIE, państwo, kto to jest Weredyk? Jest to facet, który przychodzi np. do chorego przyjaciela i zaczyna mu tłumaczyć: „Ho ho, kicpsko z tobą, Hipcio. Dłużej jak dwa tygodnie nie pociągniesz. Trzaskniesz kopytami, mój drogi. Powinieneś pomyśleć o swej duszy, chociaż nie wiem, czy po takim życiu jak twoje wiele jej to pomoże, a także o swoim do czesnym dobytku, którego jeszcze nie zdążyłeś przepić ani przebrać w karty. W każdym razie takiej idiotce jak twoja żona nie zostawiłbym ani grosza. Siedzi, wiedźma, w biurze zamiast czuć przy chorym mężu. Działaczka, społecznica, psiakrew! Baba powinna pilnować garnków a nie zajmować się pracą zawodową. Chociaż to i twoja wina, Hipciu, że dopuściłeś do tego. A twoje dzieci? Gdyby to ode mnie zależało, nie wyjrzałbyś z piekła za ich wychowanie”.

Przyjmijmy, że Hipcio rzeczywiście patrzy na księżą oborę, że istotnie zwałzał zbyt energicznie wyroby monopolu spirytusowego, że faktycznie zużywał zbyt wiele czasu na wszeteczne kartografstwo. Czy to wystarczył upoważnia PT Weredyka do przemawiania takim tonem i do zatrważania ostatnich dni hipciowego żywota? A na to Jego mość Pan Weredyk: „A niechże ten dureń Hipcio choć raz w życiu postyszy całą prawdę o sobie, niech mu ją ktoś wygarnie bez ogródki i przemilczeń, prosto w ślepią!”

Cudnie, mój dzielny panie Weredyku! Ale posadź no pan swoją czi godną osobę na tej oto ławeczce pod naszą rozłożystą lipą, zapal sobie „Wczasowego”, jako i ja to czynię, i wczasu zażywając porozmawiamy trochę. Najpierw jedno małe pytanie: Skąd pan wie, że to, co powiedział pan Hipciowi, zawiera całkowiłą i czystą prawdę, nie mniej niż całą prawdę, ale też i nie więcej, bez domieszki żadnych pomyłek, żadnej przesady?

— Ech, panie Kolec, nudziarz z pana! Mówię wszystko to, co ja uważam za prawdę. Mówię to, co mi dyktuje mój rozum i moje sumienie.

— Przypuszcza pan widocznie, że informacjom pańskiego rozumu i pańskiego sumienia przysługuje autorytet nieomylności, bo wypowiada ja pan z taką pewnością siebie....

— Cóż pan znowu? Myśli pan, że uważam siebie za Boga Ojca, czy co? Wiadomo, że mogę się omylić. Ale w takim wypadku niech mi ten Hipcio, czy tam kto inny, także powie prosto z mostu: „Nie masz racji, stary durniu, bo to a to...”. I jeżeli u-nam, że on ma rację a nie ja, to cofnę swoje słowa, grzecznie go przeproszę — i wszystko między nami będzie w porządku.

— Jeżeli pan uzna, że on ma rację... a jeżeli panu nie przypadną do gustu jego racje?

— To on powinien mnie posłuchać i zastosować się do moich rad.

— Dlaczego?

— Bo moje rady są słuszne. Mnie chodzi tylko o prawdę. Przecież ja nie mam żadnych osobistych korzyści z utracania się w jego sprawy. Przeciwnie: tracę czas i niszczę nerwy, żeby mu pomóc. To chyba najlepiej świadczy o czystości moich intencji. To także pozwala przypuszczać, że ja patrzę na rzeczy jaśniej i trzeźwiej niż on, bo nie zaślepiają mnie jego skłonności i ułomności, które chciałby jakoś wyłumaczyć i usprawiedliwić.

— A pańskie skłonności i ułomności?

— Moje? Przecież mówimy teraz nie o mnie. Jeżeli zaś ktokolwiek do strzeże uc mnie coś złego, niech mi

to wygarnie prosto w oczy. Ja się o to nie obrażę.

— To dobrze, bo ja właśnie mam zamiar „wygarnąć”. Sam pan powiedział, że pełną prawdę o człowieku może znać tylko Bóg. Ludzka prawda jest zawsze cząstkowa i ułomna. Dlatego zarówno skromność jak i zdrowy rozsądek nakazują nam stwierdzić, że wypowiadając jakiegokolwiek sądy o swoich bliźnich mówimy nie prawdę w jakimś sensie absolutnym, ale po prostu to, co my sami uważamy za prawdę.

— Nie mówię nigdy tego czego nie jestem pewny.

— Zgoda, ale pańska pewnoś jest pewnością czysto subiektywną, uależnioną od pańskich skłonności i ułomności, od pańskich narowów myślowych i uprzedzeń.

— Pan sobie za dużo pozwala!

— Chwileczkę, panie Weredyku. Chcę panu dać lekcję poglądu przeczytawiana przez pańskich pacjentów pańskiego sposobu „wygarniania prawdy prosto w oczy”. Wróćmy więc do pańskich narowów myślowych. Nie cierpi pan Hipciowiec, ponieważ pańskim zdaniem kobiety powinny pilnować kuchni. Nie uwzględnia pan tego, że Hipciowa, osoba z uniwersyteckim wykształceniem, zdolna, energiczna i inteligentna, jest właściwą „głową domu”, a nie jej mąż, poczciwy i rzeczywicie nieco rozpijaczony niedołęga. Ocenia ją pan nie według rzeczywistej wartości, ale tylko według swoich mocno staroświeckich poglądów na rolę kobiety w rodzinie.

— Panie Kolec!!

— Przeproszam, już kończę. Sądy swoje wypowiada zaś pan tonem apodyktycznym, nie znoszącym sprzeciwu, tak jakby do pana nie odnosiły się słowa: „Nie sądzicie, abyście nie byli sądzeni”. Przyulaścza pan sobie własne prawa Pana Boga. Wie pan, co odnajduję poza pańskim weredyctwem?

Nno? Co takiego?

— Pychę. Nadętą, brutalną zarozumiałość. A wie pan, co kryje się poza szacunkiem, jakim otaczają pana pańscy oglupieni podziwem dla pańskiego weredyctwa znajomi?

— Nno? Co?

— Ich złe sumienie. Ludzie mocno przywykli do kłamstwa i obłudy, ale naturalny instynkt zdrowia moralnego woła w nich o prawdę i uczciwość. Ponieważ jednak brak im siły, aby wyzłolić się z własnych ułomności, dają wyraz lepszej stronie swej natury, przez wyrażenie szacunku dla cudzej prawdomówności i uczciwości. Pan zasugerował im swoją złośliwość i pychę jako prawdomówność i uczciwość, więc dlatego czczą pana tak, jak ci, którzy nie znając prawdziwej wiary czczą święte pany i święte bawoły.

— Ja szympans! Ja bawół?! Ja panu pokażę!! Pan mię zapamiętaj...

— Ależ skądże szympans, skądże bawół? Zrobiłem tylko mały eksperyment: pokazałem panu odwrotną, ciemną stronę tzw. weredyctwa. Moja prawda była tylko „złą” prawdą tego zagadnienia. Wiem jednak, że obok „złej” istnieje również „dobra”, której bardzo ważnymi składnikami są: skromność, ostrożność, delikatność i wstrzemięźliwość języka.

— Hm... Tak... Ma pan sporo racji. Taki Apolinary na przykład. Mówią o nim „weredyk, weredyk” a ile w tym człowieku żółci, ile złośliwości! Tak, tak, panie Kolec, są tacy, co innym najdrobniejsze głupstwa przypominają, a sami... och, szkoda gadać! Choćby nawet i mój szwagier, Stasiek... Zna go pan, pan wada? Akurat jakby jego brat pan za model do tej swojej przypowieści o złym weredyku... tak, tak... są i tacy.

Bogumił Kolec

Andrzej ODNOWA

# Młodzi reżyserzy odmładzają „Ich czworo”

„Ich czworo” Zapolskiej, „tragedię ludzi głupich”, pamiętamy zarówno z lektury jak i ze sceny jako utwór przygnębiający.

O wrażeniu takim rozstrzyga już sam zespół postaci: Z końcem przedstawienia wiemy, że Żona z Kochankiem skończą w jakimś Monte Carlo jako kokota i niebieski ptak; życiem Męża, niedołęgi z akademickim wykształceniem, o uosobieniu karawaniarza, zawiadnie pierwsza lepsza Mania, jaka się nawinęła, zaradna, sprytna, lecz wcale nie bezinteresowna. I wśród zimnego egoizmu tych ludzi błąkać się będzie bezradnie, jak niemy wyrzut sumienia, biedne Dziecko, które samo jedno ratuje swym istnieniem na scenie jakiś moralny i społeczny sens sztuki.

Ten komplet postaci nie jest wesoły, lecz na „Ich czworgu” ciąży ponadto długa tradycja osobliwej ich interpretacji scenicznej: interpretacji w kategoriach naturalistycznych dramatu nastrojowego Jeszcze i po wojnie oglądało się tu i ówdzie w tym sosie „Ich czworo” i można było wtedy uwierzyć w kres teatralnej kariery tego dzieła Zapolskiej.

To, co zrobili z nim z pomocą zespołu Teatru Współczesnego Wanda Laskowska i Jerzy Rakowiecki, młodzi reżyserzy z Wyższej Szkoły Teatralnej, pozwoliło odsonić w „Ich czworgu” nowe złoża żywotności. Dokonany zabieg odmładzający wypadł wcale pomyślnie.

Dekoracje wnętrza i kostiumy, zwłaszcza postaci męskich, utrzymano wprawdzie najogólniej w stylu epoki, początku naszego wieku (scenograf: Mikołaj Portus). Lecz wnętrza uzyskały cechę jakiejś nowoczesności w ramach tej epoki, nawet jakiś rys frywolności, kostiumy zaś Żony i młodej szwaczki zbliżyły się już do stroju współczesnego. Tak ujęta scenografia nawiązywała wyraźnie do stylu gry aktorskiej. Wyczuwało się w nim intencję skierowaną na zlikwidowanie w przedstawieniu nastroju koszmaru oraz dążenie do bardziej lekkiego, satyryczno-komediowego potraktowania gry. Wyraźniło się to szczególnie w rolach młodych.

Po „Zabusi” Ireny Górskiej otrzymaliśmy w Żonie z „Ich czworga” nową postać Zapolskiej podaną bardzo żywo i z błyskotliwością, wła-

ściwą warszawskiemu stylowi komediowemu, zawsze dość bliskiemu tradycji teatrzyków rewiowo-satyrycznych. Hanna Bielicka, grając z dużym nerwem komicznym, zarysowała

życiowo, z którą kojarzyła się ta sama obojętność wobec dziecka, a nadto jeszcze solipsyzm i pozerstwo uczuć oraz obłuda: Jak łapczywie po sila się ten tragiczny Mąż, gdy nikt

nie patrzy. Postać ta, nie dość może wyraźna w przedstawieniu, wydawała się stać jakby na przeciwnym bie-

gunie w stosunku do „słonecznych” amoralistów, Żony i Kochanka. Miała zapewne śmieszyć na ponuro swą mumiowatością, być satyrą na młodopolskie nastroje. Wejście np. Jaśkiewicza do garsoniery kochanka w II akcie uzyskiwało efekt wyższego rzędu komizmu.

Jeśli dodamy jeszcze swoiście komiczną rolę cierpliwiej erotomanki — Wdowy, wytrawnie i może z największym umiarem zagranej przez Irenę Horecką, otrzymujemy obraz przedstawienia, w którym przeważające ujęcie komediowe i satyryczne równoważy właściwie sama tylko postać Dziecka, odwrócona tu zresztą bez zarzutu, z dyskretną, choć prawdziwie dziecięcą naturalnością i swobodą.

Jak wypada ten obraz w zestawieniu z intencją dzieła Zapolskiej? Czy odjęcie reszcie postaci nastroju tragizmu intencji tej nie wypacza? Czy lekkie, niefrasobliwe, cyniczne potraktowanie większości postaci sztuki nie stanowi zgrzytu wobec samej powagi zagadnienia?

Zdaje się, że mimo wszystko nie, a raczej, że zgrzyt taki leżał w samym założeniu artystycznym autor-

ki. Zapolska zdawała sobie niewątpliwie sprawę z tego, że nawet przy na wskroś komediowym potraktowa-

niu ról dorosłych, z postacią Dziecka wstępuje na scenę nastrój zgoła odmienny. Lecz na pewno uświadomiła sobie również, że beztroška, hedonizm, nieczułość dorosłych, im frywolniej zostaną oddane aktorsko, tym wymowniejszy stanowiąc będą kontrast z powagą dziecięcego smutku. O ten nieco perwersyjny kontrast zapewne Zapolskiej, naturalistce żyjącej wśród symbolizmu, chodziło. Przy wielu młodopolskich potwornościach wypowiedzi przeciw symbolistycznej zjawie z usuniętego prologu, Mandragora, myśl, która streszcza może najistotniej ideowy i artystyczny problem „Ich czworga”: „I najstraszniejszy ból... to przecież... śmiech... wasz śmiech...”

Wydaje się, że młodzi reżyserzy ze Szkoły Teatralnej, ujmując „Ich czworo”, tak jak tego dokonali w Teatrze Współczesnym, a więc odciągając jak najbardziej od nastrojowości, pozwolili w toku sztuki rozkoszować się wspaniałym, żywym dialogiem i obserwacją psychologiczną Zapolskiej, ujrzyć w ciętym satyrycznym świetle skrzywienia społeczne i moralne, godne w każdym czasie demaskacji i zwalczania, a przy tym wszystkim pozostawili w końcu w widzu jeszcze i to głębsze, oczyszczające zamyślenie.

Andrzej Odnowa



Państwowy Teatr Współczesny w W-wie. Scena z I aktu „Ich czworo” G. Zapolskiej w reżyserii W. Laskowskiej i J. Rakowieckiego. Na zdjęciu: Hanna Bielicka (żona) i Stanisław Jaśkiewicz (Mąż) fot. E. Hartwig (C.O.P.A.)

sylwetkę kobiety amoralnej, żyjącej samym naszkórkiem i czulej jedynie na pokusy najbardziej zewnętrznego snobizmu, obcą wszelkim głębszym zagadnieniom życia. Interesujący odpowiednik męski tego typu człowieka stworzył Andrzej Łapicki w roli Kochanka, gogusia i na pół utrzymania, snobującego się na zagranicę. Ujęcie obu powyższych ról nadało przedstawieniu żywą aktualność: w postaciach dawnej sztuki rozpoznawało się znajomych z dnia dzisiejszego. Również i rolę Mani ujęła Halina Czengery w sposób pikantny, przydając jej wiele kobiecej kokieteryj w stylu ówczesnych „nizin społecznych”, a niemal zacierając sentymentalne rysy krzywdy i sieroctwa. Czengery umiała drobnymi środkami, zwłaszcza ruchem i gestem, podkreślić końcową przemianę tej postaci.

Najtrudniej było odebrać zamiar reżyserów w ujęciu roli Męża (Stanisław Jaśkiewicz). Zazwyczaj idealizowano tę postać, łącząc ją dość ściśle z postacią Dziecka. Tutaj ukazano w niej tylko inną stronę ludzkiej głupoty, głupotę uczoną a niedołąną

nie patrzy. Postać ta, nie dość może wyraźna w przedstawieniu, wydawała się stać jakby na przeciwnym bie-

## Z LISTÓW DO REDAKCJI

### „Dziadek malowany” po raz wtóry

Do Ob. Anny Kozieradzkiej  
Szanowna Pani!

W swoim liście do Redakcji „Dziś i Jutro”, zamieszczonym w Nr. 29 (347), zatytułowanym „Dziadek malowany, czyli o niebezpieczeństwie postawy estetycznej” i oceniającym krytycznie po stawę, którą Jan Parandowski za jął w swojej noweli pt „Dziadek malowany” (Tygodnik Powszechny, Nr. 25 (379) — pisze Pani:

„...Ktoś może zrobić zarzut, że z takiego niewielkiego opowiadania, białego w gruncie rzeczy, robi się taki ważny problem.”

O, właśnie!  
Jestem proszę Pani człowiekiem który robi zarzut.

Należy postawić problem na właściwym miejscu. Postaram się to zrobić. Zagadnienie określiłbym tak:

Czy artystę humanistycznego, artystę, który nie chce żyć w izolacji od otaczającego świata, artystę, który pretenduje do współtworzenia rzeczywistości obowiązuje literackie Robespierre'ostwo i temata-dydaktyzm?

Krzyczę głośno: NIE! (pereat mundus et fiat iustitia.).

Artysta-humanista ma obowiązek dostrzegać rzeczywistość inteligentnie, tzn. w powołaniu z przyczyną i skutkiem. Pójdę dalej i powiem (z czym zapewne wszyscy się zgodzą): artysta, który ignoruje, lub po prostu nie widzi treściowego sensu rzeczywistości, a tylko jej migotliwą powierzchnię, to — żaden artysta, ale figura perfidna, lub intelektualizujące ciele.

Ale do stu tysięcy fur becdek, czyż z tego wynika, że artyście nie wolno tworzyć na tematy takie, jak wicher, stokrotki, uśmiech, lono, lwy, sępy czy walc angielski! Czy jego czoło zawsze ma przekreślać zmarszczka analitycznej uwagi, czy jego nozdrza muszą być nieustannie rozchyłone, wietrząc negatywne wiatry, czy wśród świateł, który dostrzega nie wolno mu widzieć tylko własnego pepka!

Artysta musi także, nawet przede wszystkim dostrzegać i pojmować ludzkie znaczenie fenomenów, ale obok tego wolno mu,

mało to jego psie prawo (i za to mu płacą) widzieć malinę w malinie, skrzypce w skrzypcach i dziadka w dziadku

Więc jaki jest mlernik oceny artysty?

Prosty bardzo To jego cała twórczość. Jeśli artysta przechodząc przez życie nie zauważy niczego poza piorunami, jaśminem, zapachem włosów kobiecych i własnym kompleksem niższości, wówczas — sam się przekreśla jako malarz i jako człowiek. w podręczniku dostaje dyskwalifikację miano estetyzera i z trzęskiem zapada się nad nim wieko od trumny zapomnienia.

Ale jeśli artysta, poza wymienionymi bytami dostrzeży coś więcej — np. proces Oskar Wilde'a wraz z jego społecznym wydźwiękiem, albo czynniki dynamiczne rozwoju społecznego w słonecznej Helladzie — wówczas zdał egzamin człowieczeństwa i zajmie swój fotel na Parnasie.

I znów na odwrót: jeśli artysta wciąż będzie przekonywał, strofował, gromił, wskazywał i krzawił, jeśli będzie Robespierre'm sztuki (czego i Pani nie życzę) — wówczas stanie się rzecz straszna: po padnie w zło groźne, jak estetyzm, ale gorsze, bo nudne, tzw. dydaktyzm. Będzie tworzyć markietowych bohaterów, takie pajace, co to, jak się je pociągnie za sznurek w niewymownym miejscu fika ją ręką, czy nogą zawsze z tym samym gestem.

Mój Boże! Tyle się pisało, tyle mówiło o „komentarzu”, chodzą-

cym na własnych nogach”, o „czar no-białej rzeczywistości”, wreszcie o realizmie. I nie Pani nie skorzystała? Czy Grodzieńska jest realista? — Jest. A pisze o scenach małżeńskich. Czy Wiech jest realista? — Jest. A pisze o ożenkach. Czy Mickiewicz jest realista? — Jest. A pisze o grybobranianiu. Czy Beethoven jest realista? — Jest. A komponuje o... nie wiem. Bo oni piszą, czy malują, czy co tam także o grzybach.

Pani trochę tak patrzy na świat, jak te dzieci, co nie wiedzają, że kś'adź pod sutanną nosi spodnie i dziwią się, że król nie śpi w koronie. Książd też jest człowiekiem i król jest człowiekiem i obaj muszą niekiedy chodzić piechotą.

Pisze Pani, że „Parandowskiemu zgubił się człowiek”. Komu? Parandowskiemu??? I pisze to pani na podstawie nowelki, jakby on nic innego nie stworzył. Jakby to był pierwszy z brzegu debiutant.

Takby wyglądała moja argumentacja, gdyby Parandowski istotnie dziadka dojrzał jedynie przez „kolo rowe szybki”, na które Pani jest ubrzejmą się gniewać (Zygmunt Ličniak jużby to określił jako „problem kolorowych szybki”).

Czy tak jest istotnie? Czy Parandowski nie dojrzał niczego poza tym? A cała końcowa scena ze spalaniem łózka?

Rozumiem, że to Pani nie wystarczy. Nie jej jednej. Wielu, zbyt wielu niestety literatów i odbiorców czyta nieuważnie, nie umie się wsłuchać w muzykę utworu.

Jerzy Stadnicki

## Z LISTÓW DO REDAKCJI

### O Czchowie pamięta się

Szanowny Panie Redaktorze,

Upłynęło już sporo czasu od wydrukowania w „Dziś i Jutro” reportażu o Czchowie p.t. „Pierwsze C”. Niedawno otrzymałem list od p. Józefa Panka, w którym zwraca mi

ra” z r. 1951, nr. 11 zamieszczony został projekt odbudowy rynku w Czchowie, wykonany przez studentów Akademii Górniczej w Krakowie. Załączony rysunek daje dokładny obraz rekonstrukcji rynku i są-



uwagę, że sprawa odbudowy starego rynku w Czchowie nie poszła w niepamięć, przeciwnie, budzi ona duże zainteresowanie i jest przedmiotem studiów. Najlepszym tego dowodem jest, że w miesięczniku „Architektu-

dzie należy, że miasteczko Czchów już wkrótce odzyska swoje dawne, tak nieprzeciętne, piękno.

Łączę wyrazy poważania

Leon Dwernicki